


H. 778.098 

JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1968

11. 118.038



APELACJA

JERZY ANDRZEJEWSKI

APELACJA

TOM I

IMPRIMERIE EN FRANCE
INSTITUT LITÉRACKI
PARYZ 1948

« BIBLIOTEKA KULTURY »
TOM 163

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

JERZY ANDRZEJEWSKI

74

APELACJA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1968

JERZY ANDRZEJEWSKI

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603697

TOM 163



II. 778.098



© Copyright pour la langue polonaise by
INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L., 1968

1968 W 1996

Pawilon kliniki psychosomatycznej, oznaczony numerem 9, znajduje się na rozległym i dość gęsto zadrzewionym terenie Szpitala Miejskiego w T. Miasto to malowniczo położone nad Wisłą, spokojne i bogate w historyczne zabytki, nie będąc obecnie wojewódzkim i nie posiadając szerzej rozbudowanego przemysłu, cieszy się w całym kraju rozgłosem, jako stary i wybitny ośrodek uniwersytecki. Pawilon Nr 9, jak większość szpitalnych pomieszczeń, pochodzi z pierwszej połowy wieku XIX, lecz jego patyna raczej biedę ujawnia aniżeli zabytkowość. Natomiast wewnątrz dawno, bo po zniszczeniach wojennych raz tylko w roku 1946 gruntownie odnawiany i wyposażony wówczas przez amerykańską UNRRA, ciasny, a w rozplanowaniu anachronicznie wierny wymaganiom sztuki medycznej sprzed lat kilkudziesięciu, tylko dzięki zapałowi oraz upartej energii ordynatora kliniki, docenta Stefana Plebańskiego, oraz dobranej przez niego starannie ekipie młodych lekarzy i lekarek stał się mimo swych przyrodzonych ułomności terenem wyprostowywania nadto zawiłych ścieżek zaplątanych i uwięzionych ludzkich umysłów.

Doktor Plebański, psychiatra nie pierwszej młodości, musiał w swoim czasie na różnych szczeblach urzędniczej hierarchii pokonywać rozliczne przeszkody, uprzedzenia,

a nawet przesady zanim z początkiem lat sześćdziesiątych zdołał przy Miejskim Szpitalu w T. uruchomić ów oddział psychosomatyczny i to od razu na prawach kliniki uniwersyteckiej. Domagając się uporczywie, nieraz wbrew własnej karierze, utworzenia podobnej placówki wychodził z prostego założenia, że nie wszyscy nerwowo chorzy nadają się do leczenia w zakładach specjalistycznych, nastawionych przede wszystkim na schorzenia szczególnie ciężkie, w wielu wypadkach nieuleczalne i ponadto, przykładem Tworki, Drewnica czy Kobierzyn, obciążonych w opinii publicznej złowrogim mrokiem dożywnotnych obłądów i szaleństw. Nawet ludzie uznani za zdrowych w chwili opuszczania owych zakładów wracają do życia z uczuciem wstydu, jakby ciążyło na nich hańbiące piętno. Klinika psychosomatyczna, nawet w swej oficjalnej nazwie odzęgając się od zwulgaryzowanego terminu: psychiatryczna, miała być zgodnie z założeniem docenta Plebańskiego czymś pośrednim pomiędzy zakładem psychiatrycznym, a zwykłym szpitalem. W praktyce stworzyło to na klinice warunki dość szczególne, w których skrupulatna rewizja rzeczy osobistych, ubezpieczone okna, brak noży przy posiłkach, sale z drzwiami obowiązkowo otwartymi i szereg innych ograniczeń regulaminowych harmonijnie koegzystowały z udzielaniem niektórym pacjentom przepustek wyjściowych na soboty, a nawet soboty i niedziele. Podobnym luzem regulaminowym stał się ostatnio tzw. pokój psychologa.

Konieczność nieustannego współżycia z bliźnimi, wynikająca z warunków lokalnych, sprzyjała niekiedy społecznej reedukacji jednostek, których powiązania rodzinne lub zawodowe uległy niebezpiecznemu nadwątleniu chwijną i kusą niteczką się stając, a nie jak być powinno, dobrowolnie, a nawet z gorliwą ochoczością przyjętym powrozem. Bywają przecież wypadki, gdy pacjent, aby odzyskać zwichniętą równowagę, potrzebuje kilku godzin samotności, tylko pozornie aspołecznej, bowiem właśnie w skupieniu sam na sam ze sobą, w zgodzie z własną na-

turą umacnia swoją kusą niteczkę. Dla pożytku takich jednostek docent Plebański, pokonując wiele przeszkód natury ekonomicznej oraz administracyjnej, wygospodarował na drugim piętrze pawilonu skromną klitkę, która po niekosztownych zabiegach przekształciła się z mansardowej rupieciarni w zaciszny gabinecik z biurkiem, parą klubowych foteli, kozetką oraz telefonem bezpośrednio łączącym z miastem. Dzięki tej inwestycji wybitny psycholog z t-skiego Uniwersytetu mógł trzy razy w tygodniu udzielać pacjentom użytecznych dla ich świadomości konsultacji, stąd się wzięła nazwa gabinetu, z którego za specjalnym, oczywiście, zezwoleniem docenta Plebańskiego mogli w godzinach popołudniowych korzystać różni pacjenci, zresztą nieliczni, aby kilka godzin samotności spędzić z korzyścią dla swojej rekonwalescencji. Rzecz prosta, z używalności pokoju psychologa korzystali przede wszystkim intelektualiści oraz artyści, którzy na skutek męczących skłóceń z życiem oraz własnymi osobowościami schraniali się pod opiekę doktora Plebańskiego, aby przy jego naukowej, a dla niewtajemniczonych trochę magicznej pomocy odnowić potargane związki.

Był to zatem wypadek pod każdym względem nietypowy, gdy pewnego dnia w październiku roku 1967 jeden z pacjentów, niejaki Marian Konieczny, lat 41, żonaty, z zawodu technolog przetwórstwa mięsnego, obecnie na emeryturze, zamieszkały w O. — osobiście zgłosił się do ordynatora z prośbą, aby na okres kilku popołudni udzielono mu zezwolenia na korzystanie z pokoju psychologa.

Otrzymał je z miejsca i nawet nie został zapytany dla jakich celów samotności i ciszy potrzebuje. Ta dyskrecja ze strony docenta, świadcząca o zaufaniu dla nietypowego pacjenta, głęboko Koniecznego wzruszyła i tylko równowadze psychicznej, uzyskanej po z górą miesięcznej kuracji, przypisać należy, że nie zareagował bezradnym,

dziecięco-męskim łkaniem, którego nasilone nawroty już po raz trzeci na przestrzeni ostatnich lat czterech zmuszały go były do szukania ratunku u doktora Plebańskiego. Więc się nie rozplakał, lecz wobec wielkoduszności tak wzruszającej poczuł się zobowiązany równą lojalnością odwzajemnić. Zatem, zgodnie ze swoją potrzebą, tak się wypowiedział:

— Ja muszę wyjaśnić, panie docencie, dlaczego potrzebuję trochę spokoju, pan był zawsze dla mnie, jak ojciec, więc ja przed panem, jak przed ojcem rodzonym żadnych tajemnic nie mam i życzyć nie potrzebuję, pan mi zawsze dobrze poradzi, ja to wiem. Więc to jest tak, panie docencie, ja to sobie dokładnie przemyślałem, całe dnie tylko o tym myślę i myślę, także w nocy, jak się obudzę i spać nie mogę, wciąż myślę, nie, panie docencie, proszę się nie bać, mnie to nie denerwuje, jestem spokojny i spokojnie myślę, nogę mam tylko trochę niespokojną, ale ja wiem, że mi przejdzie, jak wrócę do domu i normalnie zacznę żyć z żoną, a tak, jestem zupełnie spokojny i dlatego, jak dokładnie moją sprawę przemyślałem, doszedłem do wniosku, że jeden dla mnie ratunek, jedno szukanie sprawiedliwości ludzkiej, bo o boską się nie lękam, Pan Bóg nie odmówi mi nieba, jak tu na ziemi takie piekło przeszedłem, więc w związku z moją sprawą, ja znam, panie docencie, pana opinię w tym względzie, ale przysięgam na wszystkie świętości, na spokój moich dzieci, na wszystko, co mi drogie, na głowy moich synów, żeby im oszczędzono ucierpienie, jakich ja, ich ojciec, doświadczyłem, to nie jest moje urojenie, ja mam prawidłowe rozeznanie, także niezbite dowody, czasem mogę się mylić, ale podstawowe rozpoznanie mam prawidłowe, więc ja po dokładnym rozważeniu doszedłem do wniosku, że muszę teraz wszystko zrobić, aby moją niewinność udowodnić i żeby po dwunastu latach zaprzestano ze mną szatańskich sztuczek i żeby sprawiedliwości stało się zadość, bo krzywda, która mnie się dzieje, nie moją jest tylko krzywdą, ja, panie docencie,

zawsze byłem i jestem jednostką uspołecznioną, dlatego, jak mnie się dzieje taka ciężka i niesprawiedliwa krzywda, całe społeczeństwo od tej rozróbki cierpi, nie tak jest, panie docencie?

— Więc co pan postanowił, panie Konieczny? — spytał doktor Plebański.

— Odwołać się do samej góry postanowiłem, niech tam na górze dowiedzą się o mojej krzywdzie, niech wszystko w sumieniu obywatelskim zbadają i rozważą, a potem wyrok sprawiedliwy wydadzą, bo ja wierzę, panie docencie i takie mam przekonanie, że na górze nic o moim nieszczęściu nie wiedzą, te szatany z Kontrwywiadu na pewno swoje sztuczki przed nimi zatajają, ale ja ufam, panie docencie, że jak u góry się dowiedzą, wtedy przyjdzie rozkaz, że jestem niewinny i czysty jak łąza, i nikt z moich zażartych wrogów nie będzie śmiało mnie udręczać, sprawiedliwości zadość się stanie, przesładowania oszczerce ustaną, prawda zatryumfuje i ja publicznie będę zrehabilitowany, żebym miał prawo chodzić z podniesionym czołem i śmiało mógł patrzeć ludziom w oczy. Nie mam racji, panie docencie?

W oszczędnych słowach została ta racja Koniecznemu przyznana. Umocniony na duchu mówił dalej:

— Ja, gdybym nie był uspołeczniony, panie docencie, to bym się opiece Boskiej polecił i na te wszystkie knowania machnął ręką i powiedział: a szukajcie, szukajcie diabły wściekłe, i tak nic nie znajdziecie, bo ja nigdy, Bóg mi świadkiem, zdrajcą mojego narodu nie byłem, żadnemu obcemu wywiadowi nigdy nie służyłem, ojczyźnie i władzy ludowej służyłem, zdrowia nie oszczędzając, a pracując na ile mi tylko sił i umiejętności starczyło. Ale że jestem uspołeczniony, tu na ziemi sprawiedliwość chcę znaleźć, dla tego podjąłem zobowiązanie, żeby dokładnie opisać całe życie, niczego nie tając, samą prawdę pisząc i żeby potem, jak skończę, przesłać to pismo do najwyższych czynników władzy ludowej, niech się do-

wiedzą, co zrobiono z wiernym synem narodu, ja się o wyrok nie boję, wiem, że przez obywatela Pierwszego Sekretarza moja gehenna sprawiedliwie zostanie zważona i osądzona. Z tych powyższych względów ośmieliłem się pana docenta prosić, żeby mi było dozwolone korzystać z pokoju psychologa, ja to wszystko, co mówiłem, dokładnie opiszę, a jak skończę, to przed wysłaniem na ręce obywatela Pierwszego Sekretarza panu docentowi dam do przeczytania i będę wdzięczny za ewentualne poprawki, z ortografią nie jestem zawsze, jak trzeba, nie pobierałem nauk, jak teraz wszyscy młodzi...

Tak więc, tego samego jeszcze dnia — był poniedziałek i dzień bardzo piękny, ciepły i słoneczny — punktualnie o godzinie trzeciej, gdy część pacjentów samodzielnie, lub pod opieką kogoś z personelu schodziła na dół, na spacer po szpitalnym parku, Konieczny, uzyskawszy uprzednio od lekarza dyżurnego klucz od pokoju psychologa i powiedziawszy przy wyjściu, co powiedzieć należało, udał się na drugie piętro, zaopatrzony w narzędzia pracy, mając mianowicie przy sobie zwykły szkolny zeszyt oraz tani ołówek kulkowy, oba przedmioty zakupione podczas rannego spaceru w miejscowym kiosku „Ruchu”.

Pierwszą czynnością Koniecznego, gdy znalazł się w pokoju psychologa, było zamknięcie drzwi na klucz. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że gdyby któryś z lekarzy przyszedł na inspekcję i znalazł drzwi zamknięte od wewnątrz, mógłby ten fakt wytłumaczyć opacznie, na niekorzyść zamkniętego. Wobec tego z powrotem klucz w zamku przekręcił, a potem chwilę stał nad słuchując, czy nikt po schodach na górę nie idzie, ale nikt nie szedł, była cisza, niewiarygodna cisza, znalazł się w tej ciszy, jakby w kloszu dopasowanym szczelnie do kształtów pokoju, więc stał chwilę wtopiony w tę ciszę i oszołomiony, prawie zaniepokojony jej nieruchomością, instynktownie starał się oddychać w sobie, możliwie naj-

lżej, aby się przekonać, czy cisza może się pogłębić i odechnąć z ulgą, gdy o piętro niżej, więc na klinice, drzwi trzasnęły, od razu po charakterystycznym gwarze rozpoznał, że nowa grupa chorych idzie na spacer. Wówczas dopiero, jakby ten pogwar na dole stanowił oparcie, podszedł na palcach do biurka, złożył na nim zeszyt oraz kulkowy ołówek i już zamierzał odsunąć krzesło, aby nie tracąc czasu podjąć nagłą pracę, gdy spojrzenie jego oczu jeszcze nieoswojonych z nieznanym wnętrzem, zesliznęło się z biurka na podłogę, drewnianą i niedawno mytą, bo była w szorstkich zagłębieniach wilgotna, a potem wzniosło się wyżej i tam spoczęło na jesiennej, lecz jeszcze bujnej zieleni ogromnego kasztana i spośród gęstego obszaru konarów i listowia wychwyciło rudą plamkę, nieruchomą i z błyszczącymi ślepkami, machinalnie, sam nie wiedząc dlaczego, podniósł rękę i wówczas, choć to nie było blisko i poza szybą, ruda plamka stała się żywym płomykiem, mignęła prawie tuż za oknem i natychmiast gdzieś wysoko w górze zniknęła, tylko liście nie dalsze niż na wyciągnięcie ramienia chwilę lekko drżały. „No popatrz, popatrz! — szepnął cicho i poczuł, że gdyby się rozplakał, przyniosłoby mu to ulgę. Ale się nie rozplakał, podszedł do okna i wsparłszy się dłońmi o parapet, z czołem przy chłodnej szybie począł szukać wiewiórki tam w górze zieleni kasztana, gdzie rozpościerało się gładkie i czyste niebieskie niebo, nie odnalazł jej jednak, choć długo stał z głową podniesioną. Wreszcie wrócił do biurka, usiadł, zeszyt otworzył i na pierwszej stronie dużym i okrągłym piśmem skreślił starannie adres, imię i nazwisko oraz partyjne stanowisko adresata, a po chwili dopisał: Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie. Po czym ołówek odłożył i poczuł się trochę znużony i senny, więc wsparł głowę o rękę i w tej pozycji skupionego zamyślenia znalazła go mała, ładna czarnulka, siostra Irenka, gdy o godzinie pół do szóstej przyszła na górę, aby przypomnieć Koniecznemu, iż czas zejść na kolację.

Nazajutrz dzień był pochmurny, popadywał drobny deszcz, prawie nagle stała się na dworze jesień. Po rannym lekarskim obchodzie Konieczny grał w bridża, przegrał dwa robry z jedenastu punktów i jednego, zakończonogo wylicytowanym szlemikiem w karo, wygrał, wychodząc w ostatecznym wyniku na trzy plusy. Mimo tej satysfakcji począł się uskarżać na duży niepokój i choć go partnerzy namawiali na jeszcze jednego robra, zrezygnował z dalszej gry i wycofawszy się do pokoju, położył się na łóżku w zwykłej pozycji dziennej: na wznak, z rękoma oburącz wsuniętymi pod głowę i z prawą nogą luźno zwisającą na zewnątrz, ta bowiem pozycja pozwalała mu na swobodne kołysanie kończyną, dotkniętą nasilonym niepokojem ruchowym, ubocznym objawem działania uspokajających leków. Po obiedzie (była na obiad zupa śliwkowa z kluskami oraz gotowana wołowina z kartoflami i buraczkami) znów się położył, przynajmniej kwadrans kołysał nogą, po czym usnął, wciąż na wznak, więc ciężko pochrapywał, ku hałaśliwej udręce jednego ze swoich towarzyszy, a był nim młody Francuz, Jean Claude Caron, prowadzący lektorat na uniwersytecie w T., trochę dziennikarz i tłumacz, niedawno zjawił się na klinice, ciemny i smagły, bardzo zachodni, ale też bardzo niespokojny i nienaturalnie podekscytowany, przyzwyczał sobie bowiem ostatnio do nadużywania proszków nasennych, łykał je regularnie o siódmej wieczorem w ilości do pięciu, sześciu tabletek, o ósmej zapadał w twardy sen, aby o czwartej nad ranem zbudzić się w stanie euforii i w tej sztucznej ochoczości, rekompensującej w pewnym stopniu nieosiągalność wielkich bulwarów, bistra oraz *frutti di mare*, zabierał się do pracy, podtrzymując następnie swoje siły aż do upragnionej godziny siódmej potężnymi porcjami neski oraz czerwonym winem i wysokoprocentowymi drinkami. Teraz, pozbawiony twórczych pokarmów, gubił ku swemu nieukrywanemu żalowi uroki ekscytacji i powoli, choć nie bez daremnych zrywów buntu, pogrążał się w stan grząskiej i lep-

kiej depresji. Chrapanie Koniecznego, zarówno dzienne, jak nocne, wyzwalalo w nim szczatki wygasajacej energii. Niezdolny na razie do pracy, a nawet do czytania, ograniczal sie bowiem w tym zakresie do udręzonego wpatrywania sie w pierwsza strone tego samego numeru *Le Monde*, do pozostałych, stale napływających, nawet nie zagladajac. Ale chrapanie Koniecznego pobudzalo go do czynu, wiec gdy tamten chrapal, przewracal sie ciezko na lozku, wprawiajac sprężyny w stan gwałtownych skrzypień, wzdychal glosno i z rownie hulasliwa desperacja chrzalkal i kaszlal, daremne jednak byly jego wysilki, Konieczny, skoro zasnal, mogl spac spokojnie nawet gdyby ziemia sie zatrzesla i pioruny byly obok. Natomiast dwaj pozostali towarzysze Koniecznego z pokoju Nr 30 nie reagowali na chrapania, usypiali jak kamienie stoczzone w glab studni: pewien pulkownik z WOP'u cierpiacy na przewlekla depresje oraz szesnastoletni Rafal, podejrzany o mlodziencze zaczatki schizofrenii, wlasnie na wstrzasowej kuracji insulinowej.

Tak oto w sposob powszedni minely Koniecznemu wtorkowy ranek oraz wczesne popoludnie. Za kwadrans trzecia obudzil sie i w niespeina dwadziescia minut pozniej, otrzymawszy od dyzurnej lekarki, doktor Konarskiej, wiadomy klucz, udal sie na gore, do pokoju psychologa. Tam, poniewaz mimo wczesnej pory panowal polmrok, zapalil górne swiatlo, patrzyl chwile przez okno na kasztan, ktory od wczoraj przerzedzil sie i zzolknal, wiatr sie w nim kotlowal, potem zsunal wiotkie firanki, zapalil lampe na biurku i wydobywszy z kieszeni szpitalnego szlafroka zeszyt oraz kulkowy olowek natychmiast zabral sie do pracy.

Napisal tego popoludnia, co nastepuje:

Ja, nizej podpisany Marian Konieczny, syn Jana i Anieli z Kundiczow Koniecznych, urodzony 1 maja 1926 roku we wsi Kalety, powiat Augustow, z zawodu techno-

log przetwórstwa mięsnego, od roku 1964 na emeryturze, zamieszkały w O., przy Alei Zwycięstwa Nr 17 m. 5 B, obecnie na leczeniu w Szpitalu Miejskim w T., klinika psychosomatyczna, pod opieką ob. docenta dr. Stefana Plebańskiego — zwracam się niniejszym do Ciebie, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, z gorącą prośbą, abyś osobiście moje pismo rozpatrzył, zostałem bowiem ciężko i niewinnie skrzywdzony i chociaż od dwunastu lat jestem prześladowany od czynników Kontrwywiadu i bardzo wiele przcierpiałem, nie mogłem nigdzie znaleźć sprawiedliwości, więc dlatego zwracam się do Ciebie, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, ponieważ wierzę, że Obywatel Pierwszy Sekretarzu, po ojcowsku moją sprawę się zajmie i wyda sprawiedliwy wyrok, a też podejmie rezolucję, aby moi niemiłosierni prześladowcy zaprzestali swoich machinacji, bo ja choć nie byłem i nie jestem partyjny, zawsze wiernie Polsce Ludowej służyłem, nigdy niczym agentem ani zdrajcą nie byłem, a jeśli popełniałem błędy, to z nieuświadomienia, bowiem nie ukończyłem nauk, chociaż bardzo chciałem i całe życie starałem się pobierać wykształcenie, proszę się więc nie gniewać, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, jeżeli się trafi, że pobłądzę stylistycznie, ale za to starać się będę pisać z całego serca i całą prawdę powiedzieć, a Ciebie, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, jeszcze raz serdecznie o tę łaskę proszę, żeby po zapoznaniu się z niniejszym materiałem, sprawiedliwy wyrok został uchwalony, bo ja bardzo i niewinnie cierpię, i już nie mam sił męczyć się tak dalej. Teraz jestem zdrow dzięki staraniom i opiece ob. docenta dr. Plebańskiego, ale nim tu przyjechałem, wciąż płakałem i było ze mną bardzo źle, a wtedy, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, dzieją się ze mną straszne rzeczy, tak straszne i okropne, że ja tego powiedzieć nie mogę, czuję, że w środku jest we mnie czegoś za dużo, ale nie wiem czego i to jest takie okropne i straszne, raz mi się wydaje, że mam w sobie zimną piwnicę, a kiedy indziej kocioł rozżarzony, wtedy myślę, że się cały zapalę i żywy ogień

będzie we mnie buzować, a kości mi wtedy słabną, jakby były z wosku, niech Bóg wybaczy moim prześladowcom moją ciężką krzywdę, bo ja im wybaczyć nie mogę, zapomniałem zgłosić, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, że jak mam piwnicę, z kośćmi jest odwrotnie, zaraz mi zaczynają marznąć i sztywnieć to jest naprawdę okropne i straszne, i ja muszę bardzo nad sobą panować, żebym nie zwariował, ale taki wysiłek bardzo osłabia i jestem po takim wielkim wysiłku bardzo słaby i potem dlatego łatwo się wzruszam i płaczę, a po każdym płaczu jeszcze słabszy się czuję, nieraz ledwo na nogach mogę się utrzymać i ręce mi drżą, więc muszę usiąść i nic robić nie mogę, nawet domowych robót nie mogę spełniać, bo od kiedy jestem na emeryturze, to znaczy od 1 stycznia 1964 roku, na mnie spoczywają wszystkie domowe obowiązki, moja żona, Halina z Tomaszewskich Konieczna, pracuje na Kolei, na referacie Statystyki i Planowania w PKP, Dyrekcja Gdańsk, a mamy trzech synów, Aleksandra ur. w roku 1954, Jana ur. w roku 1955 i Michała ur. w roku 1957, warunki mieszkalne mamy poniżej normy, bo mieszkanie spółdzielcze mamy przydzielone na rok 1969, wciąż czekam, że żona dostanie mieszkanie zastępcze, ale moi prześladowcy skrycie i podstępnie działają, żeby mi w tej wielkiej uldze życiowej zaszkodzić, więc mieszkamy z żoną i synami u szwagra, brata żony, ob. Wiktora Tomaszewskiego, to jest małe mieszkanie, dwie izby z kuchnią, metraż trzydzieści cztery metry i do tego piąte piętro, więc woda nie zawsze dochodzi na skutek niedostatecznego ciśnienia, czasem cały dzień krany są puste, a wodę czerpać można tylko późnym wieczorem, albo najlepiej nocą, szwagier, Wiktor Tomaszewski, też ma troje dzieci, syna i dwie dziewczynki, on z uwagi na chroniczny ischiasz jest także na emeryturze, z zawodu jest mikologiem, więc na emeryturze wcale nienajgorzej mu się dzieje, bo wciąż jest na pracach zleconych, ale my z żoną nic od niego nie chcemy, swój udział w komornem i wszystkich świadczeniach

regularnie płacimy, bo tak gospodarujemy, żeby nasz budżet był ustabilizowany, ale to jest bardzo ciężko dzielić mieszkanie nawet z najbliższą rodziną, człowiek, jeżeli jest kulturalny, męczy się przy wspólnej kuchni, a mój szwagier jest z charakteru dość gwałtowny, popić też lubi, a jak więcej wypije zaraz go bóle chwytają i staje się drażliwy i zaczepny, o byle co wybucha, a nasze żony, to znaczy moja żona i jego, Urszula, też są nerwowe i wielkiej sympatii do siebie nie czują, dzieci od tych kłótni i awantur cierpią najwięcej, ja jeden staram się powyższe kontrowersje uzgadniać, a to powoduje, że star-gane nerwy mam, ale człowiek nie takie rzeczy mógłby znieść, nieporozumienia w najlepszych rodzinach mają miejsce, najgorsze, że moi prześladowcy do najbliższego otoczenia, do najbliższej rodziny perfidnie przeniknęli i tak zręcznie podstępными machinacjami podeszli, że ja nie mówię żona, bo żonie nic nie mogę zarzucić, dobra jest kobieta dla mnie i dzieci, trochę nieporządna i towarzystwo mężczyzn lubi, ale nie za bardzo, więc żony o nic złego nie pomawiam, ale szwagra i także chyba szwagierkę omotali, z początku niczego się nie domyślałem, ale później, jak ci z Kontrwywiadu coraz śmieiej poczęli działać, każdy krok mój śledząc, żeby mnie małpowano, wtedy, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, ja jednego dnia w roku 1964 trochę dłużej spałem i sam byłem w pokoju, bo żona do pracy poszła, a synowie do szkoły, więc ja przed śniadaniem, żeby się odświeżyć, spryskałem sobie włosy wodą fryzjerską firmy Viola w Gliwicach i przed lusterkiem się uczesałem, a potem przeszedłem do kuchni, żeby zagrzać mleko, a tu, przechodząc korytarzykiem widzę drzwi do pokoju szwagra na w pół otwarte, a zwykle zamykał, i jak spojrzałem w tamtą stronę, mróz mi przeszedł po krzyżu, oddech stanął i zimny pot wystąpił na czoło i takie drżenie mnie chwyciło, że się musiałem na moment ręką oprzeć o komodę stojącą w przedpokoju, żeby nie upaść. A to, co mnie tak poraziło, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, to było, że mój szwagier, jak ja

wodą toaletową włosy sobie spryskiwał i przed lusterkiem też, jak ja, się czesał, nawet nie wiem, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, kogo mi się więcej żal zrobiło i nad kim miałem się wpierw litować: nad sobą, że nieprzyjaciel już i do domu mego wtargnął, członkiem mojej rodziny bezwstydnie się posługując, czy nad nim, że jak Judasz dał się przekupić, a jeśli nawet nie przekupić, w co mało wierzę, to małodusznie dać wiarę wrogim podszeptom, jakobym ja, szwagier jego rodzony, agentem został obcego wywiadu. Pamiętam, jak mnie pierwsza słabość odeszła i władzę w nogach poczułem, pomyślałem sobie: o nie, bracie, to ci tak gładko nie przejdzie, musisz wiedzieć, że ja nie jestem ślepy i głuchy i mam rozeznanie, co się wokół mnie szykuje i jaki to niedobry figiel obywatel szwagier zgodził się mi spłatać, więc wszedłem do pokoju, nie pamiętam, czy dzieńdobry powiedziałem, czy nie, ale pamiętam, że kiedy on mnie wchodzącego zobaczył, spojrzął z ukosa tak, jak patrzą ludzie z nieczystym sumieniem, ale tego swego judaszowego czesania nie zaprzestał, dalej mój szwagier nad kuafiurą pracował, tylko trochę nerwowo, tak mu grzebyczek w rączce latał, jakby do prądu był podłączony, a lusterkiem drugą rączką też nerwowo manipulował, to pod jeden boczek lusterko takie samo, jak moje, podsunie, to na przeciwną stronę przerzuci, a wyjaśnić trzeba, że nędzne owłosienie ma szwagier, łysieje jak marynarka na łokciach przetarta, więc i grzebyczek mało był przydatny tym jego kilkunastu włoskom, nigdy też nie widziałem, żeby tyle starań i zabiegów fryzurze poświęcał, ale wcale mnie to zdziwić nie mogło, bo od razu wiedziałem w czym leży istota problemu i że on, mój szwagierek judaszowaty, żadnej do zabiegów toaletowych wagi nie przykładą, tylko z góry mu nakazano, albo chytrze przetłumaczono, żeby mnie znak dał rozpoznawczy, że oni czuwają i każdą moją czynność nawet w domu śledzą i notują, no to, jak się już tak stoczył na wrogie pozycje, ja kiedy do pokoju wszedłem, co rzadko robi-

łem, i nie pamiętam, czy dzieńdobry powiedziałem, czy nie, a on z ukosa na mnie spojrział i dalej swoje z grzebykiem i lusterkiem wyczyniał, ja spokojnie spytałem, jak gdyby nic: cheszysz się?, a on w sztuce szpiclowania jeszcze nie generał, okropnie się zmieszał, aż mu kark poczerwieniał, tyje mój szwagier, brzuch mu rośnie, zaraz jednak musiał połapać, bo policzki po swojemu nadął, brzuch wypiął i w lustro mruknął coś w rodzaju: a bo co?, tak mi się przynajmniej wydało, że to było: a bo co?, więc ja na to nie spuszczać z niego uważnego oka: i wodą toaletową włosy sobie skropiłeś?, wtedy on: nie podoba ci się?, a ja: a owszem, owszem, czemu ma mi się nie podobać, grzebyczek i lustro też mi się podobają, i czekam, co powie, no i powiedział, lustro stawiając na stole i spodnie podciągnąwszy, bo mu się z brzucha obsunęły: słuchaj Marian, tak powiedział, ty uważaj na siebie, dobrze ci radzę, ja wiem, odpowiedziałem, że ty mi dobrze radzisz, ja to bardzo dobrze wiem, no, jak wiesz, on wtedy i kark mu znowu poczerwieniał, to zejdz ze mnie i drzwi za sobą zamykaj, w porządku, pomyślałem sobie, dobrze grać, to ty, bracie, jeszcze nie potrafisz, i już chciałem wyjść, aż tu naraz, co ja widzę?, na krześle, przy nieposłanym łóżku, nowiutka wisi marynarka, mógłbym przysiąc, że była nowa, nigdy podobnej, szarej w jodełkę cokolwiek ciemniejszą u szwagra nie widziałem, a koszula biała nylonowa także wydała mi się nowa i zagranicznego pochodzenia, musiał te ciuchy szwagier judasz nabyć w komisie przy ulicy 1-szego Maja, bocznej od placu Wolności, nazajutrz wszystko sprawdziłem i okazało się, miałem rację, często takie nagłe rozpoznanie miewam i ocenę faktów słuszną i prawidłową, no więc wówczas, kiedy zobaczyłem te ciuchy mego domowego szpicla na krześle niedbale rzucone, zaraz sobie przypomniałem, że wieczorem szwagier późno, bo po dziesiątej do domu wrócił, a że pod dobrą datą, łatwo się było domyślić, bo się nic nie krępował, że my z żoną zgasiliśmy światło, uważający nigdy nie był, ale

jak podpił, zachowywał się, jak człowiek bez żadnego wychowania, wszystko stało się dla mnie jasne, człowiek kłamie, ale fakty nie kłamią, trzeba je tylko prawidłowo ustawić, więc choć mi ręce zaczęły troszkę drżeć i na oddechu zrobiło mi się słabo, nic nie dałem po sobie poznać i pytam: ile ci dali?, a on wtedy też i grzebyczek na stół obok lusterka położył i głosem wyraźnie schrypniętym rzekł: nie rozumiem, o co ci chodzi?, rozumiesz, rozumiesz, ja na to, i musiałem się o stół oprzeć, bo mi ręce znów zaczęły się trząść, wiesz dobrze o co chodzi, ty może wiesz, powiada wówczas nowy mój prześladowca, bo ja nie, głupio się tłumaczył, widać było, że pierwsze kroki stawia w szpiegowskim fachu, więc postanowiłem zagrać w otwarte karty i patrząc mu prosto w oczy powiedziałem: ile ci dali judaszków, żeby cię zwerbować? tysiąc, dwa, a może pięć? powiedz, nie wstydz się ile judaszków na swoim rodzonym szwagrze zarabiasz?, tu myślałem, że go szlag trafi, tak na karku i na twarzy poczerwieniał, że słowo daję, myślałem, że go krew zaleje, ale nie, twarde był i na wszystko widać gotowy, bo tylko sapnął ciężko, jakby mowę, co mu kołkiem w gardle stanęła, chciał odetkać, potem pięścią w stół uderzył i wrzasnął: już cię tu nie ma, zmiataj, zrozumiano?, wariatom, jak ty sam, odstawiaj swoje kawałki, a nie mnie, w porządku, pomyślałem sobie, jednak ma słabe nerwy, nie wytrzymał i łatwo się zdemaskował, więc że już nic nie miałem do roboty, bo wszystko wiedziałem, wyszedłem z pokoju, drzwi za sobą zamknąłem i potem, kiedy stałem w ciemnym przedpokoju, coś się takiego ze mną stało, że na moment zapomniałem, gdzie jestem i nie wiedziałem, czy jest dzień, czy noc, było mi tylko w środku bardzo zimno i ręce wciąż mi się trzęsły, nie pamiętam, jak długo trwało to moje zagubienie i zamroczenie, ale pamiętam, że pierwsze, co do mnie doszło, to światło dzienne z głębi przedpokoju, więc poszedłem w tamtą stronę i znalazłem się w kuchni, a kiedy się tam znalazłem przypomniało mi się wszystko, co się stało i poczułem się tak

słabo, że musiałem usiąść na najbliższym stołku, a kiedy usiadłem zdjął mnie taki smutek i żal, że zapłakałem i chyba długo musiałem płakać, aż nagle słyszę, ktoś wchodzi do kuchni, staje na progu, a potem do mnie się zbliża i rękę mi na ramieniu kładzie, chciałem nie płakać, ale nie mogłem, bo płacz był we mnie coraz większy, aż posłyszałem obok głos szwagra-judasza ściszony i łagodny, Marian, powiedział, uspokój się na miłość boską, niepotrzebnie się uniosłem, moja wina, przepraszam cię, Marian, i jak on to mówił, ja wciąż płakałem, choć nie chciałem, i płacząc pomyślałem, jak dziwnie jest ten świat urządony, bo cierpi na nim nie tylko człowiek pogwałcony i prześladowany, ale też i ten drugi, prześladowca i gnębiiciel, Panie Boże wszechmogący, Jezu Chryste miłosierny, chciałbym wiedzieć, czy ci, którzy do prześladowań zmuszają, też cierpią, kiedy są sami, panie Jezu Chryste —

W środę, więc trzeciego dnia pracy nad pismem do najwyższych czynników pisał Konieczny dalej:

Wczoraj nieco zboczyłem z zaplanowanej linii, bo ciężkie i bolesne wspomnienie mnie naszło, więc teraz dla pełnego przedstawienia oraz wyjaśnienia mojej sprawy opowiem swoje życie w kolejności, w jakiej od dnia moich narodzin przynosiło mi różne troski i zmartwienia, a także do dnia mojego wielkiego nieszczęścia te trochę promyków radości oraz sukcesy w pracy, i w jakim to porządku zdawałem z niego ustnie sprawozdanie na osobiste życzenie ob. docenta dr. Plebańskiego i w jego obecności za pierwszym moim na klinice pobytem w lipcu roku 1963, a ta pierwsza moja kuracja trwała równo dwa miesiące i wyszedłem uspokojony i zdrowy, ale moi wrogowie szybko sobie o mnie przypomnieli i dali o sobie znać, więc gdy dalej trwała dokoła mojej osoby robótka i w pracy doznawałem licznych szykan i w ogóle byłem dyskryminowany, nerwy znów mi posłuszeństwa

odmówiły, więc aby uciec od moich prześladowców ukryć się musiałem u ob. docenta dr. Plebańskiego, zawsze mi przychylnego i przyjaznego, co jest dla mnie wielką pociechą i zaszczytem, a było to w styczniu roku 1964 i także dwa miesiące na klinice przebywałem, a moi wrogowie mimo Mózgu Elektronowego i ogromnej ilości agentów i szpicli zgubili pod koniec mój ślad i nie wiedzieli, gdzie jestem, więc dlatego to moje schronienie na Klinice wielką jest dla mnie podporą i pomocą, nie wiem, co bym zrobił, gdyby mi utracić przyszło i to bezpieczeństwo dla moich ciężko starganych nerwów, bo tu jestem spokojny i bez obawy.

Urodziłem się 1 maja 1926 roku we wsi Kalety, powiat Augustów, z ojca Jana Koniecznego i matki, Anieli z Kundiczów, pochodzenia szlacheckiego, ale mój dziadek, Aleksander Kundicz, utracił ziemski majątek po powstaniu 1863 roku i jako dwudziestoparoletni młodzieniec zesłany był na katorgę na Sybir i narzeczona jego, Barbara Owerłło, wiernie za nim podążyła i tam się moi dziadkowie ze strony matki pobrali, a potem długie lata w niedostatku w tambowskiej gubernii mieszkali, a kiedy mój dziadek zmarł, wdowa po nim, Barbara Kundicz, z synem Olgierdem, który potem został komunistą i zaginął podobno w roku 1936, oraz córką Anielą w rodzinne strony wróciła, krawiectwem zarabiając i właśnie w Augustowie ojciec mój zapoznał moją matkę i wielka romantyczna miłość ich połączyła i na kobierzec ślubny powiodła, chociaż ojciec mój był prostym chłopem i gajowym, a moja matka biedna wprawdzie i nieuczona, jednak ze starego szlacheckiego i niegdyś bogatego rodu Kundiczów, herbu Korab, dalecy krewni mojej matki, też Kundicze, aż do wybuchu Polski Ludowej majątki ziemskie w sandomierskim mieli, ale matka moja nigdy się z nimi nie komunikowała. Ojciec mój ciężkie i biedne miał dzieciństwo, szkół nie ukończył, ale na praktykowaniu wyuczył się leśnictwa i był zatrudniony w leśnictwie Ciercierz, więc z tego względu w lasach spędziłem lata

dziecięce, do wybuchu wojny zdążyłem ukończyć sześć klas Szkoły Powszechnej we wsi Ciercierz i już wtedy zaplanowałem, że pójdę w ślady ojca i zostanę leśniczym, bo kochałem przyrodę i taka praca bardzo mojej naturze odpowiadała, ale wojna rozpętana przez hitlerowski imperializm wszystkie moje piękne plany pokrzyżowała, chociaż przez pierwsze cztery lata bezpiecznie się uchowałem, jako małoletni, miałem dużo wolnego czasu, więc trochę ojcu, ale przede wszystkim w domu przy gospodarstwie pomagałem, bo druga żona mojego ojca, a moja macocha, Bronisława z Kowalczyków Konieczna, już zimą roku 1941 zaczęła na zdrowiu poważnie nie domagać i tak z sił opadać, że żadnej ciężkiej pracy domowej nie dawała rady, po długich i ciężkich cierpieniach zmarła moja macocha 23 listopada 1943 roku, w szpitalu w Augustowie, na raka żołądka, więc nie było dla niej ratunku, dobrą była macochą, zawsze się o nas, to znaczy o moje rodzeństwo i o mnie troszczyła, jak o własne dzieci, a było nas wszystkich razem sześcioro, najstarszy, Aleksander, ur. w roku 1914, siostra Barbara, ur. w roku 1918, Aniela ur. w 1920, potem też siostra Jadwiga, ur. w roku 1922 i brat Stanisław, ur. w roku 1924. Miałem jeszcze dwóch braci, ale jeden Zbigniew, ur. w roku 1916, zmarł na dyfteryt we wczesnym dzieciństwie, a ostatni ze wszystkich, Witold, ur. w roku 1929, żył tylko kilka godzin i swoim przyjściem na świat przedwczesny zgon mojej matki spowodował. Ja mojej matki wcale nie pamiętam, bo kiedy 11 października 1929 roku zmarła przy porodzie, miałem trzy lata, z fotografii pamiętam, że była przystojną niewiastą, ojciec mój, jako młodzieniec też był urodziwy, wysoki i silnie zbudowany, brat Aleksander figurę po nim odziedziczył, trochę też Stanisław, ja w ojca ślady nie poszedłem, wzrostu mam metr sześćdziesiąt siedem, ale byłem proporcjonalnie zbudowany i dosyć silny, a włosy miałem gęste, ciemno blond i układały mi się na głowie, jak hełm, dopiero w ostatnie lata na skutek mojej okropnej tragedii włosy bardzo mi

się przerzedziły, także trochę tyć zacząłem, bo ruchu mam mało.

Po niespodziewanym zgonie mojej matki ojciec mój znalazł się w żałobie i ciężkiej sytuacji, bo co miał robić z taką gromadką dzieci nieletnich i potrzebujących kobiecej opieki, ojcu nieźle się powodziło, ale głównie dlatego, że matka była wierną i gospodarną żoną, więc ojciec ledwie zdjął po nieboszczce żałobę, powtórnie wszedł w małżeńskie związki, zapoznał mój ojciec moją przyszłą macochę w szpitalu w Augustowie, gdzie moja matka połóg odbywała i z tego umarła, moja macocha pracowała na etacie niewykwalifikowanej pielęgniarki i dlatego odkąd moja pamięć sięga, zawsze odznaczała się czystością i na higienę bardzo uważała, co w ówczesnych warunkach wiejskich było rzadkością, pamiętam zawsze pilnowała, żebyśmy do posiłków siadali pierwsi ręce umywszy, z moim bratem Stanisławem dochodziło w tym względzie do częstych trudności, a też dobrze pamiętam, jak macocha uważała, żeby w ubikacji było czysto, a to było jeszcze przedtem zanim premier, generał Sławoj-Składkowski, osobiste inspekcje zaczął w terenie odbywać i wizytował specjalnie wsiowe budyneczki, na biało je kazać wapnem malować i dlatego od jego nazwiska zaczęto nazywać te przybytki „sławojkami”. Ja z mego dzieciństwa dużo pamiętałem, ale teraz, choć dopiero co czterdziestkę przekroczyłem, pamięć mam bardzo osłabioną, a działałi to moi prześladowcy z Kontrwywiadu i ja im tego wybaczyć nie mogę, bo dzieciństwo i rodzicielski dom każdemu człowiekowi powinny być drogie, chyba że jest bardzo smutne i nieszczęśliwe, ale moje nie było nieszczęśliwe, choć w dostatki i wygody nie opływałem, więc nie mogę wybaczyć moim gnębicielom, że mi moje dzieciństwo podstępnie ukradli i ja, kiedy mi jest smutno i ciężko, nie mogę w tamtych odległych latach pociechy szukać, zaraz po wojnie dużo jeszcze z dzieciństwa pamiętałem, a i w więzieniu, pamiętam dobrze, nieraz się pocieszałem promiennymi wspomnieniami

mi i były mi one jakby cudowną wodą życia w przymusowym zamknięciu, ale teraz, od kiedy, niewinny, podpadłem u różnych kacyków łamiących praworządność, tak tymi szykanami i nieustanną rozróbką zostałem zgnieciony, że również dzieciństwo straciłem, pewnie bezpowrotnie. Siedzę nieraz i myślę i myślę, i staram się przypomnieć krainę dziecięcych igraszek, ale nic przypomnieć nie mogę, nawet lasy, jakie widzę wokół siebie, nie wiem, czy to las pierwszych moich kroków i pierwszych chłopięcych zabaw, czy też inny las, jaki później oglądały moje oczy, nic nie widzę, ojciec tylko taki dla mnie, jakim się stał na stare lata, a moich braci i moje siostry także tylko widzę, jako osoby dojrzałe, strasznie mi żal, że tak ubogo z dzieciństwa pamiętam, pozostało mi jedno wspomnienie, a to było wtedy, gdy mój najstarszy brat, Aleksander, przyjechał na wakacje z Augusto-wa, gdzie chodził do gimnazjum i dostał od ojca wiatrówkę, nie wiem dokładnie ile miałem lat, ale musiałem być bardzo mały, może trzy lata miałem, albo cztery i jednego dnia brat wystrzelił koło domu do wiewiórki, jeszcze teraz słyszę odgłos strzału i jak przymknę powieki, widzę jak małe, rude stworzonko, które dopiero co zwinnie po gałęziach skakało i życiem się cieszyło, spada, jak kamień z wysokiego drzewa i kiedy leżała na ziemi, ja do niej podbiegłem i miała podkurczone pod siebie łapki i oczka otwarte, jakby spała, tylko z pyszczka ciekł strumyczek czerwonej krwi, kiedy w marcu roku 1959 pojechałem na wieś, do Cierlicy, na pogrzeb ojca, widziałem się z siostrą Jadwigą, która przyjechała z dwojgiem dzieci aż z Wałbrzycha, gdzie jej mąż, Andrzej Kobiela, jest inżynierem na kopalni im. Bolesława Bieruta, wtedy mi opowiedziała, jak się zmówiło o dawnych czasach, że po tym zastrzeleniu wiewiórki ja całą noc nie spałem i miałem wysoką gorączkę, ale ile lat wówczas miałem, ona też dokładnie nie pamiętała, mówiła, że chyba cztery, więc to było trzydzieści siedem lat temu, całe życie, bo moje przekłete już się chyba skończyło, chociaż nie

tracę nadziei, że Ty, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu... bardzo się czuję zmęczony i nie czuję się na sile pisać dalej, ręka mi ścierpła, głowa zaczyna boleć i mój niepokój się zwiększa, a tyle jeszcze pracy mam przed sobą jutro, pojutrze i dalej, że strach ogarnia, jak temu podołam, a przecież jedyna moja nadzieja to moje pismo, myślę, co też żona teraz porabia, pewnie wróciła do domu z biura, a może jeszcze nie, bo musiała zakupy robić, a o tej porze największe kolejki, biedna ona, niedość, że ciężko pracuje, jeszcze, kiedy mnie nie ma, całe gospodarstwo i dzieci na jej głowie, mamy trzech synów, Aleksandra, ur. w roku 1954, Jana, ur. w roku 1955 i Michała, ur. w roku 1957, chwała Bogu wszyscy zdrowi są i nad podziw urodziwi, nie wiem sam, skąd im się to wzięło, bo ani Halinka, choć miłą ma powierzchowność, Miss Piękności nie jest, ani ja Adonisem, jakkolwiek za młodu wcale szpetny nie byłem, ładne więc mamy dzieci, wszyscy to mówią i zdolne, tylko się za mało do nauki przykładają i bardzo trzeba uważać, żeby lekcje mieli odrobione, jak należy, Olek ma dopiero trzynaście lat, tylko patrzeć mnie doścignie i przerośnie, już mi wyżej ramienia sięga, ja od dawna zaplanowałem, że po liceum pójdzie na prawo, żeby bronić niesprawiedliwie oskarżonych, albo za sędziowskim stołem zasiadać, aby w imieniu Polski Ludowej przestępców karać, a niewinnych na wolność puszcząć, na razie Olek bardzo udany i zdolny chłopak, ale tylko sportem się interesuje i wszystkie rekordy nasze i światowe lepiej pamięta niż czego go w szkole uczą, z tego względu musiał piątą klasę powtarzać, martwię się, jakie teraz pod moją nieobecność postępy robi, pocieszam się, że skoro podrośnie, nabierze rozumu i zrozumie, że w naszych czasach człowiek bez wykształcenia jest jak kaleka, choć to prawda, że górnik, albo hutnik czy wykwalifikowany tokarz, czy spawacz więcej na miesiąc wyrobi niż na ten przykład doktor medycyny, ale co wyższe studia, to wyższe studia, ja już na tym co zdobyłem w ciężkim trudzie poprzestać muszę, ale to

mój obowiązek, żeby dzieci wyrosły na ludzi kulturalnych i jeżeli Olek nie będzie chciał iść na prawo, Janka będę się starał pchnąć w tym kierunku, bo najmłodszy Michaś całkiem inne zdradza uzdolnienia, dziesięć lat ma teraz, a ruchy ma tak zwinne i śliczne, żywy jak płomyczek, zawsze uśmiechnięty i ciągle by tylko tańczyć chciał, żona mówi, że koniecznie powinniśmy go dać do szkoły baletowej, może ma rację, ona w takich rzeczach ma dobre wyczucie, matki rzadko się myślą, co do dzieci, trochę mi tylko dziwno, że mój syn mógłby zostać tancerzem i publicznie na scenie występować, oklaski zbierać, sławnym być, chciałbym to zobaczyć, bo to musi być wielkie szczęście tak tańczyć dla radości innych ludzi i sprawiać, że chociaż na te parę godzin zapomną trosk i umartwień, chciałbym, żeby mój mały Michaś takie dobre czarodziejstwa ludziom sprawiał, ja tego nie doczekam, Halinka może, należy się jej za wszystkie...

Czwartek

Bardzo dziś jestem niespokojny, bo wczoraj wieczorem o godzinie dwudziestej pierwszej stał się okropny wypadek, jeden pacjent, który przyjechał z Warszawy przed paroma dniami, popełnił samobójstwo, doktor medycyny, Kaliński czy Kalecki, dobrze nie dosłyszałem nazwiska, brał wieczorem kąpiel i salowy Wirtek parę razy do niego zaglądał, a potem poszedł na chwilę na oddział męski, bo Dziadek znów pod siebie zrobił i wtedy, jak tam był, salowa zaczęła krzyczeć, ja byłem na telewizji, która ze względu na ciasnotę mieści się na korytarzu, na oddziale kobiecym, szedł film o wielkiej polskiej uczonej, Marii Curie-Skłodowskiej, wtedy ten doktor podciął sobie żyły na szyi żyłką, nikt nie wie skąd żyłkę wziął, bo golił się maszynką elektryczną, musiał komu skraćć, albo miał schowaną, siostra Irenka, którą bardzo lubię, mówiła, że nie żył, kiedy go znaleziono

w wannie, bo jako lekarz bardzo dobrze wiedział, w jaki sposób najlepiej śmierć sobie zadać, widziałem, jak go z łazienki wynosili, cały był we krwi, ale głowy nie widziałem, bo się cofnąłem, żeby nie patrzeć, a potem Wirtek zamknął drzwi, poszedłem spać, jak zwłoki wynieśli, wszyscy byli bardzo zdenerwowani, ale mnie najbardziej denerwowało, że Francuz, kiedy się położył, jadł ser, a potem jabłko, my wszyscy pogasiliśmy światła, tylko on nie, strasznie mnie denerwowało, że je jabłko, a że ma zdrowe zęby, za każdym razem, jak gryzł, rozlegał się głośny chrzęst, nie wytrzymałem i powiedziałem: Jezus Maria, panie Karą, kiedy pan skończy te jabłko?, myślałem, że się rozgniewa, bo ma południowy temperament, ale wcale się nie rozgniewał i powiedział: już kończę, panie Konieczny, przepraszam, ale ja nie mogę zasnąć, kiedy jestem głodny, ma rację, ja też, jak jestem głodny, zasnąć nie mogę, tylko ja po tym co się stało nie mógłbym spokojnie jeść, ciągle widzę, jak go z łazienki za nogi okrwawionego wyciągali, rano łazienka była czysta, ale ja po dokładnym rozejrzeniu odkryłem na ścianie za wanną kilka małych rdzawych plamek, i co jest warte życie ludzkie?, ludzie sławni i wielcy coś po sobie zostawiają, ale taki zwykły człowiek, jak ja, kiedy pójdzie do ziemi nikt go prócz najbliższej rodziny nie wspomni i nie pożałuje, czasem i rodzinie lżej, strasznie musiał się męczyć ten doktor, jeżeli taką śmierć musiał sobie zadać, ja nie rozumiem, jak taki człowiek z wyższym wykształceniem mógł nie pomyśleć, że sprawi tyle nieprzyjemności całemu personelowi, siostrom i lekarzom, a przede wszystkim Docentowi, z którym podobno był na ty i dzięki któremu tutaj się dostał, choć był komplet i jego musiano położyć na korytarzu. Wszyscy byli dzisiaj bardzo przygnębieni i cały ranek cisza była na korytarzach i salach, jak jeszcze nie pamiętam, siostra Jola powiedziała w zaufaniu Francuzowi, że wdowa po denacie, jak zechce, może oddać sprawę do prokuratora i zażądać dochodzenia, nie znam się na tym, ale ja myślę, że jeżeli ktoś

się chce życia pozbawić, nie ma takiej siły, żeby go upilnować, chyba każdy nasz krok byłby strzeżony i żebyśmy dniem i nocą byli inwigilowani i oko dozorczy nigdy z nas nie zeszło, ale ja z własnego doświadczenia wiem, jakie to jest straszne i nikomu bym nie życzył takiego nie-szczęścia, najgorszemu nawet wrogowi i to chciałem powiedzieć Docentowi, kiedy spytał mnie rano na korytarzu, jak mi praca idzie, a ja powiedziałem, że dosyć ciężko, bo nie mam wprawy w pisaniu i z tych względów prosiłbym, abym mógł z pokoju psychologa ten tydzień do końca i jeszcze następny korzystać, a wtedy Docent powiedział: właśnie w tej sprawie chcę z panem porozmawiać, panie Konieczny, bo jutro, najdalej w poniedziałek przyjdzie do nas nowy pacjent, pewien socjolog, ustaliliśmy, że w stanie w jakim się znajduje, nie powinien się wytrącać z normalnego trybu i trzeba mu będzie stworzyć takie warunki, żeby trzy, cztery godziny dziennie mógł regularnie i w spokoju kontynuować pracę naukową, rozumiem, panie docencie, ja na to, ja dla nauki zawsze wielki mam szacunek i moja sprawa bardzo jest mała wobec naukowych osiągnięć, jak bezbronny Dawid wobec Goliata, nie pleć pan głupot, panie Konieczny, przerwał mi wtedy Docent, nikt nie powiedział, że pańska sprawa jest mała i nieważna, może nawet ważniejsza jest niż się panu zdaje, dziękuję, panie docencie, ukłoniłem się, ja wiem, że pan docent mnie rozumie i ja panu za to do końca życia będę wdzięczny, a pan wie, gdzie ja mam pańską wdzięczność, panie Konieczny?, powiedział, wiem, panie docencie, roześmiałem się i chyba od dawna się nie roześmiałem, on także się uśmiechnął, ale też zaraz groźnie na mnie spojrzął i powiedział: jak pan wie, niech się pan weźmie w kupę i szybko skończy z tym swoim pismem, bez zabawy w biurokrację, im prędzej pan skończy i wyśle, tym dla pana lepiej, dużo już pan nabazgrał?, chyba dużo, powiedziałem, ale względem całości mało, no!, na to Docent, niech pan pisze, ale niech się pan streszcza, ja panu taki układ proponuję,

na razie może pan korzystać z pokoju psychologa, także wieczorem po kolacji, ale nie dłużej niż do dziewiątej, przed udaniem się na spoczynek konieczny jest relaks, ma pan o wszystkim zapomnieć, to nie tak łatwo, panie docencie, powiedziałem, a on: gdyby było łatwo, to bym tego od pana nie żądał, rozumie pan?, rozumiem, panie docencie, powiedziałem, no więc!, poklepał mnie po ramieniu, zatem do roboty, ale termin panu daję nie dalej niż do niedzieli włącznie, powiedzmy, do poniedziałku, nie dłużej, nie pozwolę panu marnować papieru, podanie ma być podaniem, a nie romansem w odcinkach, fantazję może pan sobie łaskawie na ten raz schować do kieszeni, i chciał odejść, kiedy ja go zatrzymałem, panie docencie, powiedziałem, sądzi pan, że to pomoże?, a wtedy jak na mnie spojrzy i nie krzyknie: co pan sobie wyobraża, wrzasnął na cały korytarz, za kogo pan mnie bierze? pozwala pan sobie przypuszczać, że jestem lekarzem, który doradza pacjentowi nic wartą, nikomu potrzebną pracę?, wypraszam sobie podobne insynuacje, och, jak jestem wdzięczny, że nakrzyczał...

Urodziłem się 1 maja 1926 roku we wsi Kalety, powiat Augustów, z ojca... ciekawy jestem, gdzie tego socjologa ulokują, pewnie też na korytarzu, chyba że kto wyjdzie do soboty i zwolni się miejsce na sali, będę musiał z nim porozmawiać, żeby się zorientować, czy Olka, w razie gdyby nie chciał iść na prawo, nie dało się skierować na socjologię, nie pamiętam kto, ale ktoś niedawno mówił, że teraz bardzo dużo znakomitych sportowców pobiera wyższe studia, Badeński na przykład, słynny biegacz i także dwie sławne biegaczki, zapomniałem, jak się nazywają, i wiele innych, w tym kierunku trzeba urabiać świadomość Olka póki chłopak podatny na wpływy, Halinkę też będę musiał tak ustawić, kiedy wrócę do domu...

Wieczorem tego samego dnia

Do
Obywatela Pierwszego Sekretarza
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej
w W a r s z a w i e

P R O Ś B A

Mariana Koniecznego, technologa przetwórczości mięsnej na emeryturze, zamieszkałego w O., Aleja Zwycięstwa Nr 17 m. 5B, a obecnie przebywającego na kuracji w Szpitalu Miejskim w T., Klinika Psychosomatyczna.

Ja niżej podpisany gorąco proszę Obywatela Pierwszego Sekretarza o osobiste rozpatrzenie niniejszego pisma oraz wydanie sprawiedliwego wyroku i spowodowanie u odpowiednich czynników, aby zdjęto ze mnie krzywdzącą inwigilację, a winni łamania praworządności ponieśli należytą karę i mnie przywrócone zostały pełne prawa obywatelskie zgodnie z Konstytucją Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z lipca roku 1952.

Urodziłem się 1 maja 1926 roku we wsi Kalety, powiat Augustów, z ojca Jana i Anieli z Kundiczów Koniecznych, jako najmłodszy z sześciorga rodzeństwa. Ojciec mój pochodzenia chłopskiego zatrudniony był jako gajowy w leśnictwie Ciercierz, powiat Augustów, a po Wyzwoleniu otrzymał gospodarstwo na pięciu hektarach we wsi Cierlica, gdzie zmarł w roku 1959. W wieku lat trzech w roku 1929, utraciłem matkę, a mnie i moje rodzeństwo wychowywała macocha, Bronisława z Kowalczyków Konieczna, zmarła w roku 1943. Do chwili wybuchu II wojny światowej ukończyłem 6 klas Szkoły Powszechnej, po czym z przyczyn ode mnie niezależnych musiałem naukę przerwać. W czerwcu roku 1943 zostałem aresztowany przez Gestapo i pod zarzutem posiadania broni przewieziony na Gestapo w Suwałkach, gdzie w czasie trzymiesięcznego śledztwa poddawany był

torturom, ale chociaż siedemnastoletni zaledwie młodzieniec nie załamalem się i nikogo nie wydałem, a broń, którą posiadałem w ukryciu, do mego najstarszego brata, Aleksandra, należała i ja wiedziałem, że on działa w konspiracji. We wrześniu roku 1943 zostałem zwolniony z Gestapo na skutek przekupienia jednego gestapowca, Austriaka, przez moją ciotkę, Barbarę Konieczną, zatrudnioną jako gospodyni u księdza Macieja Borowicza, proboszcza parafii Ciercierz. Po zwolnieniu, nie czując się bezpieczny w domu, zaciągnąłem się w październiku roku 1943 do partyzantki, zorganizowanej przez Polski Związek Powstańczy i działającej w augustowskim i na suwalszczyźnie z ramienia i pod komendą Armii Krajowej. Brałem udział w wielu akcjach dywersyjnych oraz w bitwach z karnymi ekspedycjami Wehrmachtu. W marcu roku 1944 zachorowałem na tyfus plamisty i potem w następstwie chorowałem aż do listopada tegoż roku, m.in. na zapalenie opłucnej, obrzęk głowy i wyciek z nosa, przebywając częściowo w Szpitalu w Augustowie, a częściowo, kiedy wyzwoliła nas Armia Radziecka, w domu u ojca.

W styczniu roku 1945 pomagałem mojemu stryjowi, Władysławowi Koniecznemu, przy objęciu poniemieckiego gospodarstwa rolnego we wsi Karniewo, powiat Ełk, które to gospodarstwo otrzymał mój stryj w ramach akcji przesiedleńczej tytułem rekompensaty za opuszczone przez niego gospodarstwo małorolne we wsi Raczki, dawny powiat Augustów.

W czerwcu roku 1945, gdy ogłoszony został zaciąg do Milicji Obywatelskiej, zgłosiłem się na apel i trzy lata w MO służyłem, najpierw w Augustowie w stopniu kaprała, także w Augustowie pełniłem obowiązki instruktora polityczno-wychowawczego, a następnie we wrześniu roku 1947 mianowany zostałem komendantem posterunku w Sokolanach, powiat białostocki. Twardą tę służbę odbywałem w trudnych warunkach żołnierskich, nie szczędząc sił i czasu dla walki z bandami NSZ'tu oraz

utrwalenia i umocnienia władzy ludowej. Młodemu mojemu wiekowi oraz niedojrzałości ideowej i politycznej przypisać należy, że w czerwcu roku 1948 zostałem aresztowany przez UB, a to pod zarzutem utrzymywania intymnych stosunków z ob. Jadwigą Kocik, która politycznie była podejrzana, a to z powodu braci, którzy do faszystowskich band NSZ'tu należeli, a to się dopiero ujawniło, kiedy najmłodszy z braci, Leszek Kocik, pseudonim Piorun, schwytany został w maju roku 1948, potem na śmierć skazany i wtedy stało się wiadome, że drugi Kocik, Andrzej, pseudonim Żbik, w walce leśnej zginął jesienią roku 1947, a o trzecim, Witoldzie, wszelki śluch przepadł. Ja o tym wszystkim nie wiedziałem aż do aresztowania i zdemaskowania Leszka Kocika, a ob. Jadwiga Kocikówna przysięgała, że też nie wiedziała, co robili bracia i żadnych z nimi kontaktów nie utrzymywała. Kiedy mnie aresztowano i siedem miesięcy na śledztwie na UB w Białymstoku trzymano, ja myślałem z początku, że dzieje mi się wielka krzywda, a dopiero później, uświadomiony przez porucznika prowadzącego śledztwo zrozumiałem, że jako funkcjonariusza MO i do tego w randze komendanta posterunku obowiązywała mnie wzmożona czujność i prawa żadnego nie miałem niewiedzą swoje postęпки usprawiedliwiać, więc też w tymże duchu przed sądem zeznawałem i kiedy w ostatnim słowie przyznałem się do winy, o należy wyrok prosząc, sprawiedliwie skazany zostałem na dwa i pół lat więzienia, i powyższą karę odbywałem kolejno w więzieniu w Białymstoku, a następnie w Barczewie i Iławie. W więzieniu w Iławie za moją inicjatywą i za zgodą i poparciem władz więziennych założone zostało kółko szkoleniowe marksistowskie, co mi udostępniło bliższe zapoznanie z rewolucyjną ideologią, też w Iławie ukończyłem kursa zawodowe ze specjalnością Przemysł Drzewny, tak więc pobyt w więzieniu, choć mnie wolności pozbawiał, zaliczyć mogę na wielką korzyść i opuszczałem mury więzienia dojrzały na umyśle, tylko zdrowie miałem trochę nad-

szarpięte na skutek nabawienia się gruźlicy, na którą to chorobę siedem lat później musiałem się leczyć, kiedy w różnych okresach dawała o sobie znać. Żadnych natomiast utrudnień w otrzymaniu pracy po opuszczeniu więzienia nie miałem. Najpierw pracowałem w Powiatowej Radzie Narodowej w Mrągowie, na referacie finansowym i meldunkowym, a następnie w Miejskiej Radzie Narodowej, w Miejskim Zarządzie Budynków Mieszkalnych i na obu etatach pracowałem wydajnie, żadnej nagany nigdy nie otrzymałem.

W roku 1953, pragnąc rozwinąć szerszą działalność społeczną, założyłem w O. Spółdzielnię Transportową i udało mi się zrzeszyć prawie wszystkich wozaków miejscowych i z okolicy, do tej pory działających luzem. W uznaniu moich osiągnięć społecznych i organizacyjnych zostałem w roku 1954 za zgodą Komitetu Wojewódzkiego PZPR mianowany dyrektorem Zakładu Wytwórczości Płyt Trzcinowych i Domków Jednorodzinnych w Wilkasach. Ja oddałem się tym moim nowym i odpowiedzialnym obowiązkom z całym zapałem i poświęceniem, a to tym bardziej, że w roku poprzednim rodzinę założyłem, żeniąc się z Haliną Tomaszewską, córką pracownika PKP i przodownika pracy, a 19 lutego 1954 roku przyszedł na świat pierwszy nasz syn, Aleksander. Na marne jednak poszły wszystkie moje starania i trudy, ja zawsze chciałem, żeby na powierzonym odcinku pracy działało się najlepiej, ale moje uczciwe chęci niebawem przeciwko mnie się obróciły, wielka stała mi się krzywda, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, że tak mi odplącono za moje wysiłki, a stało się to, kiedy z Centrali z Warszawy przyjechał dyrektor Gwiazda i pojęcia nie mam, czy mu ktoś nieżyczliwy zrobił doniesienie, ale od początku inspekcji ustosunkował się do mnie nieżyczliwie i krytycznie, także do mojej działalności na kierowniczym stanowisku i do metod, jakie uważałem za właściwe stosować, aby podnieść u pracowników dyscyplinę oraz wydajność pracy, także poziom moralny i ideowy. Ja, jak mi na

zebraniu załogi zarzucono, nigdy zapędów kacykowskich nie miałem, ani woda sodowa do głowy mi nie uderzyła, praworządności nigdy nie łamałem i żadnej korzyści osobistej ze stanowiska nie ciągnąłem, ja tylko chciałem, żeby moje przedsiębiorstwo nie tylko plany wykonywało, lecz je przekraczało i dlatego w trosce o podniesienie wydajności pracy zacząłem przy pomocy kilku oddanych mi ludzi zbierać szczegółowe personalia wszystkich podległych mi pracowników, dotyczące ich pracy zawodowej, jak stylu życia poza godzinami pracy, a wychodziłem z prawidłowego marksistowskiego założenia, że chcąc na wyższy etap ludzi podciągnąć, trzeba mieć wpieryw jasne w nich rozeznanie. Później na podstawie tych dokumentów odnalezionych przez dyrektora Gwiazdę i odczytanych przez niego publicznie na zebraniu załogi ukuto przeciw mnie ciężkie zarzuty i padły nawet głosy, żeby mnie wywieźć z Zakładu na taczkach, ale do takiej mojej niezasłużonej hańby nie doszło, pewnie moi potężni wrogowie z Kontrwywiadu takiego mego upadku sobie nie życzyli, bo z pewnością już wtedy długą drogę męki zaplanowali, ja nie posiadam żadnych dowodów, że dyrektor Gwiazda, wydając mnie na wstyd, urąganie i pośmiewisko, nie z własnej woli działał, a inicjatorem całej rozróbki był kto inny z ukrycia działający, w każdym razie ja po tym okropnym zebraniu, na którym jednomyślnie uchwalono rezolucję potępiającą moją działalność za jakoby klikowość, dyktatorskie zapędy, a też łamanie zasad moralności socjalistycznej, ja po tym zebraniu nieodwołalnie postanowiłem zrezygnować ze stanowiska dyrektora, a ponieważ byłem bardzo rozżalony za doznaną krzywdę i niezrozumienie moich intencji, pomyślałem sobie, że kiedy tak sprawy stoją, niech z mojej ciężkiej pracy inni, co po mnie przyjdą, nie korzystają, bo jeżeli byłem zły dyrektor, pewnie wszystko, co ode mnie początek wzięło, jest złe, więc, żeby nic po mnie nie zostało, w obecności mego szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, też w Zakładzie jako specjalistę od grzyba zatrudnio-

nego, wziąłem z mego biurka teczkę z planami inwestycyjnymi, przez mego zastępcę do spraw technicznych, inż. Kazimierza Borsuka, na moje zlecenie wykonanych, i tę teczkę, wciąż w obecności szwagra, do pokoju, w którym nieraz nocowałem, gdy do późnej nocy miałem pracę, zaniósłem i tam, żeby nic po mnie nie zostało, podarłem je i spaliłem, a tym uczynkiem w wielkim żalu i strapieniu dokonanym straszne na siebie nieszczęście ściągnąłem. Później dopiero, po ośmiu latach, zrozumiałem, że moi wrogowie, skoro mnie na ofiarę wytypowali, tylko czekali okazji, aby mnie dopaść i pogrzyżyć, a teraz ja im sam własnymi rękami taką okazję dałem. Zaznaczam, że kiedy te plany inwestycyjne w październiku roku 1955 zniszczyłem, nie byłem wzywany na UB i żaden funkcjonariusz Bezpieczeństwa nie rozmawiał ze mną na ten temat, tylko personalny Zakładu odbył ze mną rozmowę w powyższej kwestii i ja mogłem śmiało całą sprawę zataić, bo inżynier Borsuk, jak mu powiedziałem co zrobiłem, wcale się nie przejął i oświadczył, że to żadna strata, bo ma duplikat, ale ja nie chciałem kłamać i na odchodnym powiedziałem prawdę, jak było i to spowodowało, że ludzie wrogo do mnie po zebraniu ustosunkowani, zaraz zaczęli rozrabiać i różne domysły i plotki o mnie puszczać, ja dopiero potem zrozumiałem, że to wszystko z góry przez moich prześladowców było zaplanowane i co do joty przewidziane, ja niewiele znacząc, zwykłym jestem szarym obywatelem, więc z tego względu nie podpadam pod wielką rozróbkę, ale ONI, jak już raz takiego szarego obywatela na ofiarę sobie upatrzą, dobre mają rozpoznanie, że nie warto małego znaczącego pionka niszczyć z wielkim hałasem, starczy umęczyć małymi, ale bezustannymi szykanami, wszystkie przy tym pozory praworządności zachowując, aby taką zwyczajną jednostkę w ślepą uliczkę zagnać, a też i uczynić bezwolną, a że ja nie chcę skapitulować i wciąż sprawiedliwości się domagam, dlatego są tak na mnie zażarci i ze swoich rąk wypuścić mnie nie chcą, pewnie by dali spokój, gdy-

bym pozwolił się złamać i fałszywe zeznanie złożył, przyznając się do winy i przestępstw niepopołnionych, bo Bóg mi świadkiem nigdy agentem żadnego obcego wywiadu nie byłem, Hasła, którego się ode mnie domagają, nie znam i znać nie mogę i z tejże racji informacji dotyczących personelu Zakładu Wytwórczości Płyt Trzcinowych i Domków Jednorodzinnych w Wilkasach nikomu nie przekazywałem, ani planów inwestycyjnych wyżej wymienionego przedsiębiorstwa żadnej niepowołanej osobie nie wręczyłem, bo oryginał zniszczyłem i mam na to świadka w osobie mego szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, ale jego zeznaniom ludzie ze względu na pokrewieństwo niechętnie dawali wiarę i huzia na mnie, przed tym byłem im we wszystkim dobry, a teraz suchej nitki na mnie nie zostawili, czarną owcą się stałem, społecznym wyrzutkiem i może lepiej bym zrobił, gdybym machnął na wszystko ręką i zniknął ludziom z oczu, pojechał gdziekolwiek byle daleko, na Dolny Śląsk, do Szczecina, czy do Zielonej Góry, ale mnie ciężko było się rozstać z rodzinnymi stronami, gdzie i dzieciństwo i młodość i pierwsze męskie lata spędziłem, a że niewinny się czułem, więc nie było we mnie zgody na takie dobrowolne wygnanie z żoną i dzieckiem, myślę teraz, bo wtedy, jak wzmiankowałem, pełnego rozeznania nie miałem, że gdzie bym wówczas nie uciekł, jak daleko wędrówka tułacza by mnie nie zagnała, na Zachodnie, czy Północne ziemie, do miasta wojewódzkiego, czy małego osiedla, gdzie diabeł mówi dobranoc, oni wszędzie wnet by mnie wytropili, bowiem wyrok okrutny już został na mnie wydany i nie w mojej było instancji odmienić bezlitosny los. Teraz pojąć nie jestem w stanie, jak wtedy i przez całe osiem lat ślepy byłem i głuchy, może jednak moje nieuświadomienie usprawiedliwi okoliczność, że czując się czystym jak łza mogłem rozumieć ludzkie złe języki, chociaż mnie to bardzo bolało i oburzało, ale pomyśleć nie mogłem, że zмова przeciw mnie sięga tak wysoko i tak w metodach jest bezwzględna, a w ce-

lach bezlitosna i praworządności urągająca. Więc nieświadomy istoty problemu rozglądać się zacząłem za nową pracą, ponieważ egzystencja moja i mojej rodziny została poważnie zachwiana, z tej też przyczyny przyjąłem pierwszą z brzegu okazję i zacząłem pracować w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Świątkach, w Zespole Hodowli Zarodowych, jako magazynier tegoż Zespołu. Ale zaraz od początku wielkie trudności zacząłem mieć w pełnieniu obowiązków, bo chociaż nasz Zespół obsługiwał w paszę kilkanaście okolicznych gospodarstw, brak było wagi wozowej i każdy transport paszy szacować trzeba było na oko, i stąd wynikały różne manka, i kiedy na skutek niedostatecznego odżywienia bydło i konie poczęły zdychać na terenie dystrybucji naszego Zespołu, władze się w to wdały i ja, jako magazynier, zostałem aresztowany, ale na śledztwie zaraz się moja niewinność ujawniła, ponieważ okolicznościami zmuszony byłem do niedokładności, ale nie ja, tylko inni korzyści z tego czerpali. Dopuszczam zresztą i taką ewentualność, że na tym śledztwie i ja, choć niewinny, podpadłbym pod wyrok skazujący, gdyby moi potężni wrogowie, inne względem mnie mając zamiary na widoku, nie szepnęli słówka, gdzie należy i nie wyjednali u prokuratora umorzenia śledztwa. Nie zakładam, że tak być musiało, ale mogło.

Z aresztu w Świątkach zwolniony zostałem w listopadzie roku 1957, a zapomniałem wzmiankować, że przez ten cały czas kiedy pełniłem obowiązki magazyniera w PGR Świątki, moja żona w grudniu roku 1955 urodziła drugiego syna, Jana, a kiedy zostałem aresztowany, ona była w ciąży i dlatego ledwo się znalazłem na wolności, i do tego niezdrów, bo na skutek wszystkich przeżyć odnowiła się u mnie gruźlica, gorączkowo się zacząłem rozglądać za pracą i tym razem mi się poszczęściło, bo jeden ze znajomych, z którym kolegowaliśmy jeszcze w MO w Augustowie, ob. Ryszard Kuna, razem byliśmy odkomenderowani w lipcu 1946 do organizowania Re-

ferendum Ludowego, i ja go teraz niespodziewanie spotkałem, okazało się, że jest wielką figurą, bo prezesem Państwowej Spółdzielni Spożywców w Lidzbarku, więc jakżeśmy się po latach spotkali, on zrozumiał moją sytuację, a że mnie znał z najlepszej strony, zaraz u siebie w PSS'ie zatrudnił w charakterze zastępcy kierownika Masarni z tym, że przed objęciem pracy mogłem skorzystać z urlopu zdrowotnego, co też uczyniłem i sześć tygodni spędziłem w Polanicy Zdroju, bardzo się przez ten wypoczynek na zdrowiu podciągnąłem i od tej pory na gruźlicę nie zapadam.

Po powrocie z kuracji objąłem z dniem 1 lutego 1958 roku pracę w PSS'ie w Lidzbarku, województwo Olsztyn.

Przez okres swojej pracy do dnia 31 lipca 1963 roku byłem pierwszym pracownikiem, nie omijały mnie żadne nagrody, każda okazja, każde święto było dla mnie nagrodą za pracę i tak trwało do roku 1963. Z powodu trudności mieszkaniowych dojeżdżałem do pracy 6 km., a też w tym czasie uczyłem się zaocznie w Łodzi, w Technikum Spożywczym, ale mimo ciężkich warunków utrzymania pięcioosobowej rodziny, w tym troje małych dzieci, dojazd do pracy różnymi środkami lokomocji i dojazd 500 km. co dwa tygodnie do Szkoły do Łodzi ja się nie załamalem i cały ciężar dźwigałem bez słowa skargi. Jednakowoż widziałem bez przerwy, że coś potajemnie wokół mnie się dzieje, dziwiło mnie to bardzo, ale moim celem była praca i utrzymanie rodziny.

Początek roku 1963 przyniósł radykalne zmiany, bo już całkiem jawnie poczęto wokół mojej osoby organizować wielką rozróbkę. Podupałem na zdrowiu i w miesiącu kwietniu roku 1963, będąc w wyniku rozróbki całkowicie załamany na życiu i psychicznie, oświadczyłem prezesowi PSS, ob. Ryszardowi Kunie, że nie panuję nad sytuacją w podległym sobie resorcie, a na to ob. Ryszard Kuna oświadczył, że wie o tym i widzi sam, i ja

mimo ciężkiego stanu zdrowia pracowałem aż do dnia 14 lipca 1963 roku, będąc całkowicie załamany psychicznie. W maju roku 1963 po rozmowie z prezesem PSS, ob. Ryszardem Kuną, widząc, że wokół mnie nie ustaje rozróbka, będąc w stanie chorobowym złożyłem nieświadomie rezygnację z pracy, co potraktowano z trzymiesięcznym wypowiedzeniem i stosunek do pracy rozwiązano ze mną dn. 31 lipca 1963 roku, ja natomiast 19 lipca tegoż roku upadłem całkowicie na zdrowiu, a wtedy siostra moja Jadwiga Konieczna, zatrudniona przy Kurii Biskupiej w T., zaopiekowała się mną i dzięki jej pomocy umieszczono mnie w Szpitalu Miejskim w T., na Klinice Psychosomatycznej, u ob. docenta dr. Stefana Plebańskiego. U miejscowego społeczeństwa rozrobiono mnie, jak również w najbliższej rodzinie, stałem się wyrzutkiem społeczeństwa.

W Szpitalu w T., dzięki troskliwej opiece lekarskiej doprowadzono mnie trochę do równowagi psychicznej, kuracja trwała przez dwa miesiące, następnie wyjechałem na własny koszt do Nałęczowa, na wczasy lecznicze trzytygodniowe i tak doszedłem do dnia 31 grudnia 1963 roku na zwolnieniach lekarskich. Śmiano się ze mnie, że jestem wariat, że zwariowałem, że koniec przyszedł na mnie i zdechnę z głodu, moi wrogowie z Kontrwywiadu coraz bezczelniej sobie poczynali, nasyłając na mnie szpicli i agentów, którzy działali w pojedynkę, ale też dla większego efektu organizowali się w dwójki i trójki, i gdziekolwiek się pojawiłem, na ulicy czy w jakimkolwiek miejscu publicznym oni mnie małpowali, znaki przy tym dając złośliwe, żebym ostatecznie się załamał i Hasło wymienił, a niektóre sztuczki musiał im zapodać Mózg Elektronowy, bo podstawiano mi i takie sytuacje, kiedy ja sam jeden byłem i nikt mnie nie mógł widzieć, a dla nich to nie była tajemnica, żyłem więc pod ciągłym naciskiem, że szatańskie oczy widzą mnie w każdej godzinie, ale ja sobie powiedziałem, że się nie dam tak pognać, aby przyznać się do zbrodni niepopelnionych i

dn. 1 stycznia 1964 roku podjąłem pracę w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Hurtu Spożywczego, Hurtownia w Lidzbarku, objąłem stanowisko starszy referent, magazynowy likwidator, wynagrodzenie 1.300 zł, zawalono mnie robotą, kazano mnie przychodzić do pracy na godzinę piątą rano, o godzinie 15-ej przynoszono plik faktur i kazano zlikwidować je na godzinę 6.30 rano na następnny dzień do rozwózki, bo inaczej będzie stał transport, mówił dyrektor, ob. Jezierski, i on polecał mi pracę w godzinach nadliczbowych, ale nie zwracałem na nic uwagi, mimo że za moimi plecami trwała już i na nowym zakładzie rozróbka, drażniono się ze mną jak z psem, mimo to pracowałem do dnia 14 stycznia 1964 włącznie, bo w dniu tym załamałem się ponownie i dnia 15 stycznia 1964 roku nie poszedłem do pracy, lecz leżałem chory w domu, dnia 16 stycznia 1964 roku przyjechał do mego domu kierowca furgonetki „Żuk” z WPHS Lidzbark i oświadczył, że przysłał go dyrektor, ob. Jezierski, dowiedzieć się, dlaczego ob. Konieczny nie stawiał się już drugi dzień do pracy, na co moja żona oświadczyła, że jestem chory i udałem się do lekarza w Lidzbarku, bo ja dnia 16 stycznia 1964 roku udałem się do lekarza, a dn. 17 stycznia 1964 roku wyjechałem na skierowanie Lidzbarka do Wojewódzkiej Poradni Zdrowia Psychicznego w Olsztynie, tam byłem na Komisji o godz. 17.30, dn. 18 stycznia 1964 roku wykupiłem w Olsztynie reglamentowany lek „Tofrenil” i następnie udałem się do domu, dn. 19 stycznia 1964 roku była niedziela, więc dopiero 20 stycznia 1964 roku żona moja dostarczyła zwolnienie lekarskie do Zakładu Pracy, zwolnienie obejmowało od 15 stycznia 1964 roku do 31 stycznia tegoż roku, jednak dyr. Jezierski na nic nie zważał, zataił, że był u mnie kierowca i konwojent furgonetki „Żuk” i zwolnił mnie z pracy dyscyplinarnie, wykonując rozkazy moich wrogów i to mnie załamało ponownie tak, że dn. 21 stycznia 1964 roku musiałem wyjechać do T., na drugi pobyt na Klinice Psycho-

somatycznej i tam, jak za pierwszym razem dwa miesiące na kuracji przebywałem, co mnie bardzo na zdrowiu podniosło, chociaż jak w pierw przez pierwsze tygodnie Kontrwywiad mnie prześladował, groźbami i przekupstwem dobierając z personelu oraz pacjentów agentów, którzy na rozkaz z góry oka ze mnie nie spuszcza i wciąż małpowali, potem to ustało, kiedy się przekonali, że się zmobilizowałem na skutek nabrania sił, w końcu marca 1964 roku wróciłem do domu, ale żadnej pracy znaleźć nie mogłem, cały ciężar utrzymania rodziny spadł na barki żony, więc dla oszczędności i żeby żona nie musiała do pracy dojeżdżać, także dzieci do szkoły, przenieśliśmy się do O. i zajęliśmy sublokatorski pokój w mieszkaniu mojego szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, który też zaczął pracować dla Kontrwywiadu, ale nie mieliśmy innego wyjścia, żonie wciąż obiecują mieszkanie zastępcze, bo spółdzielcze ma być gotowe dopiero na rok 1969, i tak się wszyscy męczymy, że końca tych udręk nie widać, więc jeśli Ty, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, mojej Prośby sprawiedliwie nie rozpatrzysz i z pomocą ojcowską nie przyjdiesz, bo rozróbka wokół mnie wciąż trwa, niech by wroga ręka zadała mi wreszcie ostateczny cios, żebym się ja już nie podźwignął, ale oni wzbraniają się taki krok uczynić, męki mi zgotowali długofalowe, więc z tej rozpaczy, że jestem na marginesie życia społecznego, politycznego i gospodarczego i takie straszne zarzuty na mnie ciążą, choć jestem czysty jak łąza, stan mój nerwowo we wrześniu 1967 roku tak się pogorszył, że trzeci raz znalazłem się na kryzysie i musiałem jechać do T., na Klinikę Psychosomatyczną, teraz jestem zdrow i spokojny, ale perspektywa, co mnie czeka po powrocie do domu, odbiera mi wszelką radość życia i w Tobie, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, jedyna nadzieja moja, przywróć mnie Ojczyźnie, Polsce Ludowej, a także żonie mojej i dzieciom dopomóż, bo cierpią niewinnie, że ich mąż i ojciec za wyrzutka jest społecznego, za co Ci z głębi serca dziękuję i raz jeszcze sprawiedliwości Twojej i po-

mocy się polecam w oczekiwaniu odpowiedzi na adres
zapodany jak wyżej

z poważaniem

Marian Konieczny

PS.

Jestem członkiem Związków Zawodowych od początku swojej pracy, to jest 15 lat, członkiem ZBOWiD'u i członkiem Stronnictwa Ludowego, ale od wielkiego życia społecznego, politycznego i gospodarczego od chwili powzięcia podejrzeń odsunięto mnie, co mnie bardzo boli, jako Polaka i patriotę tego Ustroju, o który walczyłem.

W piątek, w zwykłych godzinach popołudniowych, Konieczny zapisał:

Rano, zaraz po obchodzie, pokazałem Docentowi, co wczoraj napisałem, żeby porady zasięgnąć, czy właściwie pismo zredagowałem i aż się zdziwiłem, że po paru godzinach, jeszcze przed obiadem, Docent mnie zawezwał, usiąść kazał i spojrzawszy na mnie groźnie, a i wesoło, jak on to potrafi, powiedział: wie pan, panie Konieczny, co sobie pomyślałem czytając pański elaborat?, otóż sobie pomyślałem, że kiedy zajmował pan funkcje kierownicze, musiał pan strasznie zamęczać swoich podwładnych długimi przemówieniami, nie tak było, panie Konieczny?, wcale się nie stropiłem i odpowiedziałem: a owszem, faktycznie zdarzało się, jak pan mówi, panie docencie, przed panem nic się nie ukryje, fakt, że nieraz przemawiałem godzinę i więcej, ale tylko wtedy, kiedy sytuacja wymagała i wiele elementów było do wypunktowania i omówienia, bo ja zawsze zmierzałem, aby każdy problem wszechstronnie naświetlić i na tle zaistniałej rzeczywistości, ale to znaczy, że moje pismo nie nadaje się?, nie, na to Docent, trochę przydługie, niepotrzebnie się pan zajmuje różnymi ubocznymi szcze-

gółami, ale biorąc ogólnie nadaje się, niech pan przepisze, a my wyślemy, gdzie trzeba, dobrze, panie docencie, powiedziałem, ja to przepiszę zaraz dzisiaj, dziękuję panu docentowi, i kiedy wstałem przypomniało mi się, co już sobie wieczorem przed zaśnięciem pomyślałem, wobec tego szczerze powiedziałem: przepraszam, panie docencie, ale jedną wątpliwość mam, pomyślałem wczoraj wieczorem, że na samym początku napisałem „Prośba”, otóż przyszło mi do głowy, że może lepiej by było napisać „apelacja”, jak pan uważa, panie docencie, znów na mnie spojrział, ale nie tak wesoło, jak przedtem i powiedział: apelacja?, a dlaczego pan sądzi, że apelacja lepsza będzie od prośby?, nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, więc powiedziałem: bo skoro jestem niewinny, panie docencie, to ja dla Obywatela Pierwszego Sekretarza nie jestem petentem i nie o sprawiedliwość proszę, ale ja apeluję do najwyższego w Polsce Ludowej czynnika, aby praworządność względem mojej osoby była przywrócona, ma pan słuszność, panie Konieczny, powiedział Docent, niech więc pan przepisze swoją Apelację, i ja w związku z tym całe popołudnie pracowałem w pokoju psychologa, ale nie zdążyłem, więc korzystając z upoważnienia Docenta poszedłem pracować także po kolacji i teraz, godz. 19.35, mam tę robotę za sobą i nawet się nie czuję zmęczony, tylko nie wiem, czy ja dobrze wszystko zrobiłem, wcale nie myślę, jak Docent, że szczegółów zbyt wiele zapodałem, ja przeciwnie uważam, że się w wielu punktach nadmiernie streszczałem i przez to wiele ważnych elementów opuściłem, albo je niedość jasno przedstawiłem, postanowiłem więc, że owszem, Apelację przepisana na czysto (wyszło razem piętnaście i pół stronic formatu podaniowego) dam do wysyłki, jak Docent życzy, ale na wszelki wypadek, gdyby się okazało, że potrzebne są uzupełnienia, dalej będę pracować, jak nie w gabinecie psychologa, to na korytarzu, albo przy łóżku, teraz dla mnie obojętne gdzie, bo muszę być przygotowany na ewentualność, że kiedy Oby-

watelowi Pierwszemu Sekretarzowi różne uzupełnienia okażą się potrzebne, a nawet konieczne, ja takowe w wystarczającej ilości natychmiast dostarczyć będę gotów.

Dzisiaj przy obiedzie (na zupeł była kartoflanka, a potem dorsz smażony z kartoflami i szpinakiem, i kompot z jabłek) przydarzyła się przykra bardzo rzecz i potem byłem bardzo niespokojny, ale mi przeszło, widać jednak, że moje nerwy nie całkiem się jeszcze wzmocniły, dlatego bardzo muszę na siebie uważać, żeby na najbliższe dnię właściwą postawę utrzymać. Z wyjątkiem śniadań, bo wtedy jest gimnastyka, my jadamy posiłki na korytarzu i siedzimy przy stoliku w takim samym zestawie, jak mieszkamy. Ja nie wiem, czy dobrze zrobiłem, ale od samego początku nie kryłem wcale nad czym w pokoju psychologa całe popołudnia pracuję, więc nie było kolacji, kiedy schodziłem z góry, żeby Pułkownik, albo Francuz nie spytali mnie życzliwie, jak robota idzie, a ja odpowiadałem zależnie jak było, nawet uwagi nie zwróciłem, że jeden Rafał o nic nigdy w tej materii nie pytał, owszem słuchał uważnie, ale słowem się do rozmowy nie wtrącał, nie zwróciłem na to, powiadam, uwagi, bo całkiem naturalne mi się wydawało, że młody chłopak nie zabiera głosu w kwestiach tak delikatnych, więc też od razu mnie zastanowiło, kiedy dzisiaj nie Pułkownik ani Francuz (chce koniecznie wyjść, ale Docent go nie puszcza), tylko on pierwszy spytał, jak mi się pracowało, a też zaraz spostrzegłem, że jakoś dziwnie na mnie patrzy z takim uśmiechem niby to życzliwym, ale było tam także coś drwiącego, jakby mi dawał do zrozumienia że więcej wie niż mówi, mnie aż dreszcz przeszedł po krzyżach tak mi się to odezwanie i uśmieszek Rafała wydały podejrzone, ale się opanowałem i spokojnie wyjaśniłem, że właśnie wczoraj zasadniczą robotę zakończyłem, a Docent ją zatwierdził, więc dzisiaj zajmuję się przepisowywaniem na czysto, ale ledwie to powiedziałem zaraz mi do głowy przyszło, po co ja to mówię, na co się zdradzam, wie przecież, że zeszyt do podręcznej teczki tekturowej

z dokumentami chowam, a tę zawsze pod poduszkę kładę, wyjdę z pokoju na minutę, choćby do ubikacji, a on pod moją nieobecność całą moją ciężką pracę ukradnie, zniszczy albo prześle gdzie należy, a jeśli nawet nie ukradnie, żeby się nie zdemaskować to da znać, co ja robiłem i na jakim jestem etapie, nie ma pan dzisiaj apetytu, panie Konieczny?, słyszę Francuz pyta, a właśnie wrócił z kuchni z repetą kartoflanki, faktycznie, powiedziałem, zmęczony trochę jestem, za dużo pan pracuje, powiedział Pułkownik, a Francuz, że przydałoby się dobre czerwone wino, żeby oblać moje ukończenie pracy, ja nic na to, tylko ukradkiem obserwowałem Rafała, ale wydał mi się normalny, jak co dzień, Pułkownika, który zawsze ma *Trybunę Ludu*, spytał co idzie wieczorem w telewizji, więc pomyślałem, że musiało mi się przewidzieć, przemęczony jestem i nerwy dlatego mam w napięciu, to mało możliwe, żeby takim niedorośłym chłopcem chcieli się posługiwać, chociaż, jak kto w środkach nie przebiera, wszystko się może zdarzyć, za poprzednich moich pobytów na Klinice różnie bywało, różne tu przygotowali wtyczki, nawet dwójki i trójki spośród pacjentów próbowali organizować, żeby stale mieć mnie na oku, ostatnio żadnego śladu ich działalności na terenie Kliniki nie zauważyłem, ale też nie było to potrzebne, mogło im nawet być na rękę, że przybywam na zdrowiu i nerwy wzmacniam, żeby potem śmielej mnie dopaść i dręczyć, teraz jednak nowa sytuacja zaistniała i jak przy pomocy Mózgu Elektronowego dowiedzieli się, co robię i co zamierzam, mogli się zaniepokoić, że wobec najwyższych czynników zostaną zdemaskowani, zatem czym prędzej szpiega wśród pacjentów wyszukali, taki nieletni chłopak łatwo mógł im podpaść, spostrzegawczy, jak chłopcy w tym wieku, a że małoletni, więc zabezpieczony od podejrzeń, nie trudno skusić i przekupić takiego chłopca, dość obiecać, że w razie gdyby miał jakie trudności w nauce, Rafał jest na drugim roku Technikum Elektrycznego w Puławach, ich głowa, żeby roku nie stracił, a on sam mówił,

że z nauką ma kłopoty, tak myślałem i na moment okropna rozpacz mnie zdjęła, że i tutaj, w tym moim schronieniu, bezpieczeństwa dla mnie nie ma, więc z sercem ściśniętym spytałem: podobno niedługo wychodzisz, Rafał?, a on się miło i ładnie uśmiechnął, o tak!, powiedział, Docent Plebański mówił dzisiaj, że w najbliższą środę, i zaraz dodał: w niedzielę pójdę na przepustkę, bo stryj przyjechał, jak się uśmiechnął, to już mnie do siebie przekonał, ale jak powiedział o przepustce, znów zwątpiłem, czy on przypadkiem nie idzie na tę przepustkę po to tylko, żeby ze swoimi mocodawcami się skontaktować i dowiedzieć, jakie informacje ma zbierać i przekazywać, po kolacji specjalnie nie poszedłem się położyć, żeby nabrać sił do dalszej pracy w pokoju psychologa, tylko sprawdziłem, czy zeszyt jest na miejscu, a potem wyszedłem na korytarz i tak się ustawiłem koło łazienki, że on nie mógł mnie widzieć, ale ja bym go zobaczył, gdyby do pokoju wchodził, wcale jednak nie wszedł, zaraz po kolacji poszedł na telewizję i to mnie bardzo uspokoiło i w spokoju mogłem cały wieczór pracować, teraz też jestem spokojny, tylko zmęczony, z Rafałem musiało mi się przewidzieć, nerwy mnie poniosły, Pan Bóg by chyba nie dopuścił, abym już tak we wszystkim był pognębiony, gorzej, jak ten Hiob...

W sobotę, pod wpływem poobiedniej rozmowy Pułkownika z Francuzem, gdy od ponownego omawiania samobójstwa Doktora doszło do wymiany zdań na temat zadziwiających tajemnic świata oraz kosmosu, Konieczny około dwóch godzin spędził w pokoju psychologa na rozmyślaniach, myślał więc między innymi nad otwartym zeszytem, a raczej z lęklwym zdziwieniem ocierał się o monstrualnie rozległe galaktyki, pędzące w wszechświecie z zawrotną szybkością zbliżoną niekiedy do połowy szybkości światła, w jakimś momencie na chwilę się zatrzymał wobec rozmiarów ciał niebieskich miliardy razy większych od ziemi i blasków gwiazd docierających do

nas także po miliardach lat, gdy one same, wystygłe lub unieczestwione, przestały świecić już wówczas, gdy na naszej planecie jeszcze nie istniało życie, bo ziemia była rozżarzoną kulą wirującą w ciemnościach kosmosu, i zaraz potem cały w słuch się zamienił, bowiem z owej chaotycznej i oszałamiającej rozmowy zapamiętał, że pokój, w którym teraz samotnie przebywa i w ogóle każde miejsce na ziemi wypełnione jest setkami tysięcy fal radiowych długich, średnich, krótkich i ultra-krótkich, jak gdyby każdy metr przestrzeni gotów był, niby za dotknięciem magicznej pałeczki, zabrzmieć tysiącokrotnymi muzykami i głosami, teraz jednak, gdy ich nikt i nic nie przyzywa, przepływającymi niewidocznie wśród martwego milczenia. A tajemnicze, jeszcze przez uczonych nierozpoznane fale, jakie wysyła prawdopodobnie i odbiera ludzki umysł? Tu lekko zadrżał i pot mu wystąpił na skroniach, a prawa noga intensywniej poczęła się kołysać pod biurkiem, dane mu bowiem było więcej w tej dziedzinie wiedzy niż innym ludziom, nawet stokrotnie go przewyższającym w naukach i umysłem. Któż inny miał okazję, a także nieszczęście zetknąć się osobiście i równie namacalnie, co on, ze złowrogą potęgą maszyny elektronicznej nastawionej przez wrogów na siedzenie oraz utrwalanie każdego kroku, a nawet każdej myśli? Więc w obliczu tak niespodziewanie wywołanego nieprzyjaciela instynkt samozachowawczy kazał mu skryć się pośpiesznie w głąb oceanów, w ową przedziwną i mało jeszcze znaną krainę wilgotnych ciemności i ciszy, przecież pełną tajemniczego życia oraz bogactw naturalnych, wyobraził sobie, że spoczywa na najgłębszym dnie pod zawrotnie spiętrzoną górą wód, a potem starał się sobie uzmysłowić wędrówki węgorzy, ów ruch masowy rybiego plemienia z głębi lądu, znad jezior i mulistych rzeczek, wędrówkę obyczajem milionów pokoleń zmierzającą nieomylnie ku odległemu tarłowisku gdzieś na Oceanie Atlantyckim, zwanym w tej okolicy morzem Sargassowym, aby tam po spełnieniu weselnych godów dokończyć życia, potom-

stwu przekazując drogę powrotną w rodzinne strony, a w perspektywie dalszej znów wędrówkę ku rozległym wodom śmierci i nowego życia, a jeszcze później ponownie, jak kosmonauta, ku gwiazdom wleciał i chwilę przebywał w pustce i w ciemnościach nieogarnionych przestrzeni kosmicznych, w których wobec ich niepojętego dla ludzkiego umysłu ogromu gwiazdy największych rozmiarów są nie większe od mikroskopijnych pyłków, więc kim, a raczej czym jest człowiek i co znaczy i ku czemu zmierza jego krótki pobyt na ziemi, na tej zadziwiająco malutkiej planecie wirującej dokoła własnej osi i wraz z innymi planetami obiegającej rozżarzone i wstrząsane protoberancjami słońce, a na koniec wraz z całym słonecznym układem, jako drobna cząstka potężnej galaktyki pędzącej z zawrotną szybkością w nieznaną, gdzie, jak długo, a przede wszystkim po co? Czemu służy ten ruch szaleńczy, pęd, nieludzki, wirowanie, podobne kłębieniu się rojowiska much, zamkniętych w pocisku pędzącym w przestrzeni? Aż wreszcie poczuł się tak przytłoczony niewiedzą i przygnębiony własną małością, iż jeszcze przed piątą powrócił na oddział. Lecz przedtem zapisał w zeszycie:

Spokojnie zamknąłbym powieki, gdybym doczekał szczęśliwej chwili, kiedy moi synowie dorosną i Olek zostanie sędzią, Janek astronomem, a Michaś sławnym tancerzem Opery Warszawskiej, zachowaj Panie Boże moich synów w łaskawej opiece...

Wieczorem tego dnia sobotniego Konieczny rozpoczął nowy zeszyt i na pierwszej stronie wypisał starannie:

UZUPEŁNIENIA
do mojej Apelacji skierowanej na ręce
Obywatela Pierwszego Sekretarza KC PZPR
w W a r s z a w i e

Po czym zanotował, co następuje:

To była dobra dziewczyna, ze szlacheckiej rodziny Kocików, i byłaby z niej dobra żona, ale siła wyższa nas rozdzieliła. Ja, jak wstąpiłem do MO w Augustowie, dostałem pokój kwatermistrzowski u niejakich Jędryczków, on był urzędnikiem Magistratu, czyli dawnej Miejskiej Rady Narodowej, ale już poszedł na emeryturę, mieli na ulicy Marchlewskiego, dawnej 11 Listopada, domek parterowy z ogrodem, tam mi przydzielono kwaterek, z początku złym okiem na mnie patrzyli, potem już nie, nawet byli zadowoleni, że mają w domu mundurowego funkcjonariusza, bo czasy były niespokojne, bali się tylko, żeby z racji mego zamieszkania nie dokonano kiedy w nocy napadu z bronią w rękę, ale jak im dawać zacząłem przydział żywnościowy i także dodatkowe kartki trochę się uspokoili i żyło się nam w zgodzie, tylko mało ja z tego mieszkania korzystałem, bywało dwie, trzy noce z rzędu służbę trzeba było odbywać, a właśnie przez ob. Wandę Jędryczkową zapoznałem Jadzię Kocik, jej córkę chrzestną, przyjechała do Augustowa z Sokolan, gdzie zamieszkiwała przy matce, wdowie po podoficerze Wojska Polskiego poległym we wrześniu roku 1939, Jadzia zatrudniona była jako kelnerka w kawiarni „Świtezianka” w Sokolanach, przy placu im. Józefa Stalina, miała wolny dzień, kiedy przyjechawszy do Augustowa za interesami matkę chrzestną odwiedziła, i tak się złożyło, że ja też dzień wolny od służby miałem, więc była okazja, abyśmy się zapoznali i od pierwszego wejrzenia uczucie nas połączyło, ja nigdy przedtem ani potem takiej dziewczyny nie spotkałem, nawet nie żeby była szczególnie przystojna, ciemnej była urody, a oczy miała smutne i pochmurne, ale jak się uśmiechnęła, niebo lazurowe w spojrzeniu miała, nie była rozmowna, ale przy niej i milczeć było przyjemnie, nie były nam słowa potrzebne, ja jej myśli, a ona moje bez słów odgadywaliśmy, bo serca nasze jednym uczuciem biły, potem, kiedy fatalne okoliczności nad naszą miłością zawisły i ja wiedziałem, że nieszczęście zbliża się do nas wielkimi krokami, prawie nic

nie mówiliśmy, kiedy byliśmy razem, ale było nam dobrze, choć strasznie smutno, raz pamiętam, leżeliśmy w ciemnościach i ona mojej ręki poszukała, ścisnęła i powiedziała: Maryś, Maryś, nigdy sobie nie daruję, że takie nieszczęście na twoją głowę sprowadziłam, mnie wtedy coś strasznie w gardle ścisnęło, ale odpowiedziałem: Jadziu najmilsza, cokolwiek się stanie, Bogu do końca życia dziękować będę, że cię zapoznałem i ufam, że wszystko się jeszcze na dobre obróci i razem będziemy żyć, ale to się nie stało na moje nieszczęście, bo kiedy z więzienia wyszedłem, wszelki po niej ślad straciłem, ona i matka też siedziały, ale krótko, i tyle się dowiedziałem, że ob. Maria Kocikowa zmarła późną jesienią roku 1949 i Jadzia zaraz potem opuściła Sokolany, gdzieś w szचेциńskie podobno wyjechała, ale dokładnie gdzie, dowiedzieć się nie mogłem, mnie i poszukiwania wszcząć było trudno, bo po opuszczeniu więzienia gruźlicę tam nabytą musiałem leczyć, potem na posadę poszedłem i tak twarde życie wygasło piękny płomień mojej młodości, nie wiem nawet, czy ona żyje, a jeśli żyje, gdzie jest i jak się jej los ułożył, domyślałem się, męża pewnie znalazła i dzieci ma, daj jej to Boże, chyba dobrze dla niej, żeśmy się na nowo nie zeszli i los ją ode mnie, przekłętogo, oddalił, nie radosne, oj! nie radosne życie by przy mnie miała, a tak i mnie te trochę pięknych wspomnień zostało, i ona, taką mam nadzieję, źle o mnie nie wspomina, jeżeli w ogóle pamiętać chce. Pamiętam, od razu tego pierwszego dnia, kiedyśmy się zapoznali, kiedy ona miała do Sokolan wracać, ja się ofiarowałem, że ją na autobus odprowadzę, ale się nie zgodziła i ja, choć mi było przykro, przez delikatność nie nalegałem i kiedy potem smutny siedziałem, stara Jędryczkowa powiedziała, to przez ten mundur, panie Maryś, bo mnie polubiła i zdrobniale Marysiem nazywała, Jadzia też, jakto przez mundur, zdziwiłem się, to jest państwowy mundur, przecie nie hańbi, hańbi nie hańbi, na to ona, ja już jestem za stara, żeby się polityką zajmować, ale młodej dziewczynie nie jest

przyjemnie w takim towarzystwie ludziom ostentacyjnie się pokazywać, trochę się zgniewałem, co też pani, pani Jędryczkowa!, zawołałem, ja jestem władza, ale jak się potem uspokoiłem, pomyślałem sobie, że może szczerą prawdę spod serca powiedziała, więc jak ja Jadzię po więcej niż pół roku po raz drugi spotkałem, a to już było w Sokolanach, ona na mój widok rumieńcem, jak róża, spłonęła, bo nic jeszcze nie wiedziała, że mnie na posterunek w Sokolanach odkomenderowano, słyszałem tylko od Jędryczkowej, że za paroma pobytami w Augustowie, kiedy ja byłem na służbie, ona zawsze o mnie pytała, więc kiedy teraz za tym nowym spotkaniem przeszliśmy kilka kroków w stronę placu Stalina, ja spytałem: to prawda, że pani nie życzyła, abym panią na autobus w Augustowie odprowadził dlatego, że mundur MO noszę?, ona w milczeniu szła chwilę obok, aż powiedziała: od mojej chrzestnej pan to wie?, zgadła pani, odparłem, wtedy ona: to prawda i ja pana za to bardzo przepraszam, przykro mi się zrobiło, ale przyjemnie też, pani mnie przeprasza, panno Jadziu?, powiedziałem, to ja winienem panią przeprosić, że niedelikatnie się zachowałem, ja wiem, w MO różny element pracuje, nawet wrogim jednostkom udało się w szeregi Milicji wśliznąć, są i tacy, którzy władzy nadużywają, także korzyści osobiste ciągną, ale po jednostkach nie wolno sądzić, że tacy są wszyscy, nie mam racji, panno Jadziu?, pan jest prawy człowiek, powiedziała na to, mówi pan, co myśli i ja pana za to szanuję, tylko szanuję, panno Jadziu?, ja spytałem, a to mało?, na to ona, i nie wiem skąd mi się śmiałość wzięła, bo mało do tej pory miałem z niewiastami do czynienia, pewnie uczucie to sprawiło, że powiedziałem: od kogo innego nie chciałbym ja więcej, ale od pani to mało, nic na to nie odpowiedziała i szliśmy w milczeniu, aż ona rzekła: piękny dzień mamy, prawda panie Maryś?, mnie wielkie wzruszenie gardło ścisnęło i dopiero po chwili mogłem powiedzieć: dziękuję, panno Jadziu, i znowu milczeliśmy i było nam bardzo dobrze, bo ona

miała rzadką u niewiast naturę, że słowa niepotrzebnego nie wymówiła, a jak co rzekła, dusza w niej przemawiała, cóż ona winna, biedaczka, że za rodzonych braci bandytów faszystowskich miała, straszna to tragedia, ja zawsze wierzyłem, że wroga i zbrodnicza działalność braci nie była jej znana, może się czegoś niedobrego domyślała, matka pewnie coś wiedziała, Jadzia przysięgnąłbym, że nie, i w ogóle, że jej nie zgładzili za to, że się ze mną zadawała i wcale z tym nie kryła, cud to prawdziwy, pewnie dlatego jej nie zastrzelili z za węgła, że moja osoba za parawan im służyła, bo kto mógł podejrzewać, że bracia dziewczyny funkcjonariusza MO, nawet komendanta posterunku, do band leśnych należą, grasują w terenie i naszych ludzi i działaczy skrytobójczo mordują? Ja aż do chwili, kiedy Pioruna, czyli Leszka Kocika, schwytano z bronią w ręku i na śledztwo posłano, żadnych podejrzeń nie miałem, wiedziałem, że Jadzia nie jest u matki jedynaczką i ma jakichś braci, ale nigdy się tą kwestią nie zajmowałem, byli, przepadli, mało wtenczas ludzi poginęło albo przepadło gdzieś bez wieści?, milczałem, żeby drastycznych pytań nie zadawać i ran nie jątrzyć, skąd mogłem wiedzieć jak naprawdę jest?, nieszczęście spadło, jak piorun z jasnego nieba, z pierwszego wrażenia namawiałem Jadzię, żebyśmy razem uciekli i gdzieś na Ziemiach Odzyskanych nowe życie zaczęli, niechby nawet pod zmienionymi nazwiskami, ale ona zgodzić się na takie ryzyko nie chciała, pamiętam, powiedziała: nie, Maryś, ja bym chciała nigdy się z tobą nie rozstawać, ale jakbyśmy zrobili, co mówisz, tylko większe nieszczęście by na nas spadło, teraz łagodny wymiar dostaniesz, a jakbyś zdezerterował, śmierć by cię mogła spotkać, Polska nie pustynia, wnet by nas znaleźli, nie, Maryś, ja nie mogę dopuścić do twojej zguby, całe życie masz przed sobą, nie chcę ja życia bez ciebie, powiedziałem, bo faktycznie tak wtedy czułem, choć dwadzieścia dwa lata zaledwie miałem, zapomnisz, powiedziała, nie krzywdź mnie Jaziu, rzekłem z rozpaczą, ja przenigdy ciebie nie zapo-

mnę, ale jak chcesz uczynię, serce mi się tylko kraje, że skutkiem walk bratobójczych szczęście nasze zostało rozbite i zniszczone, oficer UB, który mnie przesłuchiwał, powiedział jednego dnia: my wiemy, Konieczny, żeście do aresztowania Pioruna nic o braciach Kocikówny nie wiedzieli, ale to was wcale od odpowiedzialności nie uwalnia, bo wasz błąd i wasza wina na tym polega, żeście nie wiedzieli. Jak sobie prawidłowo, Konieczny, całą sprawę przemyślicie, a czasu macie dość, dojdziecie do wniosku, że powinniście nam być wdzięczni, że zdjęliśmy was z MO i aresztowali. Byli towarzysze, co tu ukrywać?, którzy chcieli, żeby was w spokoju zostawić i poczekać aż dojrzejecie, to znaczy, jak się o wszystkim dowiecie, dalej się będziecie z Kocikówną zadawać, a wtedy z innego byście paragrafu odpowiadali, rozumiecie to, Konieczny?, tak jest, obywatelu poruczniku, powiedziałem, bo rzeczywiście zrozumiałem w jak straszną przepaść mogłem się stoczyć, no więc?, powiedział wtedy, ale ostatecznie zdecydowaliśmy, że szkoda was, młodzi jesteście, niedużym kosztem można z was pozytywną jednostkę zrobić, dużo nie dostaniecie, dwa, najwyżej trzy lata, ale jedno musicie pamiętać przed sądem, po pierwsze skruczę okazać, żeście jako funkcjonariusz MO czujności dostatecznej nie wykazali, do winy się przyznać, i po drugie: zeznać szczerze, jak naprawdę było, że Kocikówna świadomie w błąd was wprowadziła, zatajając przed wami prawdę o braciach bandytach, myślałem, że się przesłyszałem: jakto, obywatelu poruczniku, powiedziałem, takie zeznanie byłoby fałszywe, bo ja mogę na wszystko, co mi jest drogie i święte przysięgnąć, że ona o niczym nie wiedziała, to uczciwa dziewczyna, uczciwa powiadacie?, on na to, no cóż?, jeżeli rzeczywiście taka uczciwa, jak powiadacie, w takim razie musiała być lojalna wobec was i żadnych tajemnic nie miała, tak by się to na zdrowy rozsądek przedstawiało, no, a jeśli tak, to wy nie za niedbalstwo i służbowe niedopatrzenie będziecie odpowiadać, ale za świadome zatajenie bandyckiej dzia-

łałności braci Kocików, i następnie: jeśli wy, komendant posterunku MO, przed władzami taką rzecz krylicie, sami musieliście się stoczyć na pozycje wrogie i powiązania mieć z bandytami, bo w czyim interesie byście ich kryli?, tak sprawy stoją wobec waszych aktualnych zeznań, szkoda was, Konieczny, sami sobie grób kopiecie, a może jednak nie w pełni jesteście świadomi, co mówicie?, zastanówcie się, jutro porozmawiamy, rozważcie sobie wszystko w spokoju, i mnie wtedy strasznie przerażiło, że mam przed sobą całą dobę okropnych rozmyślań, więc się odezwałem: mogę o coś spytać, obywatelu poruczniku? pytajcie, rzekł on, zakładam, obywatelu poruczniku, powiedziałem, że złożę przed sądem zeznanie, jakie sobie życycie, zaraz mi przerwał: macie prawdę zeznawać, nie, co ja sobie życzę, tak jest, obywatelu poruczniku, powiedziałem, ale jakie ja dowody sądowi przedłożę, że ona poinformowana była o bandyckiej działalności braci?, popatrzył na mnie uważnie i powiedział: już wy się o to nie martwcie, Konieczny, waszym obowiązkiem mówić prawdę, resztę zostawcie sądowi, tak jest, obywatelu poruczniku, powiedziałem, podobał mi się ten porucznik, bo przywykłem do wojskowego stylu i on pewnie też wyczuł, że nie ma we mnie żadnej wrogości, a przeciwnie, bo po chwili powiedział: słuchajcie, Konieczny, ja rozumiem, że to nie łatwo swoją dziewczynę przed sądem oskarżać, ale pomyślcie w swoim sumieniu, jaki to mundur nosiliście i jaką przysięgę składaliście, pamiętacie?, tak jest, obywatelu poruczniku, powiedziałem, pamiętam, no więc!, on na to po chwili dodał: a przed sądem wasze słowo starczy, jak się wykażecie należytą postawą, sąd nie będzie miał powodów, żeby wam nie wierzyć, my tylko wrogom nie wierzymy, a wy, Konieczny, nie jesteście przecie wrogiem, nie, obywatelu poruczniku, powiedziałem, nie jestem wrogiem, bo nigdy nie byłem i dlatego po namyśle zgodziłem się zeznawać, jak tego warunki walki klasowej ode mnie wymagały, ale to mnie pociesza, że tym faktem nie za-

szkodziłem Jadzi, bo ją zwolnili po niecałym, jak potem usłyszałem, roku śledztwa, matkę trzymali trochę dłużej, ale też zwolnili i umarła na wolności. Mnie przez ten czas jedna myśl umęczała, co będzie, jak na sądzie dojdzie do konfrontacji z Jadzią, ale porucznik bardzo mnie uspokoił w tym zakresie, że taka konfrontacja nie musi mieć miejsca, moje słowo starczy i tak się też na szczęście Jadzi i moje stało, bo nie wiem, co bym powiedział, gdybym moją Jadzię w charakterze świadka na sądzie zobaczył, może bym się i złamał, ale wówczas i Jadzi w jej niedoli nie pomógł, bo na nią biedną, też groźna niesława by spadła, gdybym ja się w świetle obiektywnej prawdy okazał wrogiem Polskiej Ludowej, a tak tylko pod kątem utrzymywania kontaktów z braćmi badano ją na śledztwie i stan faktyczny musieli wreszcie poznać, jeżeli nie była sądzona, naciерpieć się, biedaczka, musiała, ale co było robić?, czasy takie były i każdy obywatel dołę cierpienia musiał udźwignąć, ja wiele rzeczy dopiero na śledztwie i potem w więzieniu jasno zrozumiałem, bo ideowo się podciągnąłem i okrzepłem.

W niedzielę popołudniu Konieczny dalej pracował w pokoju psychologa nad „Uzupełnieniami”. Napisał:

Moje rodzeństwo. Z sześciorga rodzeństwa, jakie się wychowało, bo brat Zbigniew, ur. w roku 1916, zmarł na dyfteryt we wczesnym dzieciństwie, a ostatni Witold umarł razem z moją matką zaraz po porodzie w roku 1929, tylko piątka nas przy życiu została, ale poza siostrą Barbarą, zatrudnioną przy Kurii Biskupiej w T., która mi z wielką pomocą pośpieszyła, kiedy nieszczęście na mnie spadło, tak jakbym rodzeństwa nie miał, każde, chociaż jednego ojca i matki, swoją poszło drogą, najstarszy po dziadku, Aleksandrze Kundiczu, też Aleksandrem ochrzczony, aresztowany został we wrześniu roku 1944, kiedy ja na tyfus ciężko chorowałem, i potem wywieziono go na Wschód i wszelki słuch o nim przepadł, pewnie

nie żyje, szkoda wielka, bo to był mężczyzna z wielkim charakterem, sobie tylko zawdzięczał, że doszedł do matury, a potem Politechnikę Warszawską chlubnie ukończył, jedyny z licznego rodzeństwa wyższe wykształcenie w ten sposób osiągnąwszy, niech mu daleka ziemia lekka będzie, choć ciężko mu pewnie było umierać z dala od ojczyzny i bliskich, miał narzeczoną, Joanna miała na imię, nazwiska nie pamiętam, ja jej zresztą nigdy nie widziałem, bo mieszkała w Warszawie i tam się poznali, nie wiem też, co się z nią stało, może też nie żyje. Druga siostra, Aniela, ur. w roku 1920, na wiosnę roku 1942 wywieziona była na roboty do Niemiec, pracowała w fabryce amunicji pod Hanowerem i kiedy ją Amerykanie wyzwolili w roku 1944 zapoznała pewnego sierżanta pochodzenia polskiego, za mąż za niego wyszła i mieszka w Detroit, ale rzadko pisuje, odeszła od rodziny, bo i co jej nasze troski i zmartwienia, kiedy dobrze się jej powodzi, dzieci ma już pewnie amerykańskie, własny dom i samochód, daleko zaszła nasza Anielcia od kiedy krowy pasła i do szkoły we wsi Ciercierz na bosaka biegała, stać ją na pewno paczkę od czasu do czasu przesłać, choćby dla dzieci, ale niech jej będzie, też swoje zaznała, nie musiało jej być lekko na robotach u hitlerowców, nawet nie pamiętam, jak się jej dzieci nazywają, syna ma i córkę, pewnie jaki John i Betty, ciekawy jestem, czy po polsku mówią, pewnie nie. A trzecia siostra, Jadwiga, ur. w roku 1922, też za mąż wyszła, jej mąż inżynier Andrzej Kobiela na kopalni im. Bolesława Bieruta w Wałbrzychu pracuje, parę razy przyjeżdżała na Święta, albo na wakacje do ojca, do Cierlicy, ale teraz dawno nie była od kiedy ojciec zmarł w roku 1959, dobrze się im powodzi, stać ich, żeby jeździć na wakacje nad morze, albo w góry, moje dzieci nic jeszcze z Polski poza Mazurami nie widziały, raz tylko najstarszy Olek był na koloniach w Ustce, ale jak wrócił mówił, że woli Mazury i ja się z nim zgadzam, że na Mazurach najpiękniej, chociaż augustowskie i suwalszczyzna też bardzo ładne i ma-

lownicze, dawno już w moich rodzinnych stronach nie byłem, z bratem Stanisławem, który gospodaruje na ojcowiznie, jak obcy ludzie jesteśmy, a nawet gorzej, polityka nas poróżniła jeszcze kiedy w MO służyłem, wcale nieźle mu się powodzi, ale ma duszę kułaka, pamiętam, jak w roku 1946 dostałem na Boże Narodzenie dwa dni urlopu, pojechałem motorem na wilię do ojca, nie zważając, że na niebezpieczeństwo się narażam, bo po lasach pełno było band enezetowskich, i jak szczęśliwie przyjechałem, choć porządnie mimo kozucha przemarzłem, mróz był ze dwadzieścia kilka stopni i do tego wiatr, wtedy Staszek wyszedł przed chatę i tak na powitanie brata powiedział: ty czego tu szukasz, nikt ci tutaj moskiewskich rubli nie da, wracaj do swoich rusków, mnie jakby kto w twarz dał, bo przecie żadnych rubli nie brałem i w ciągłym narażeniu życia Polsce Ludowej służyłem, ale się opanowałem i spytałem: gdzie ojciec?, a on wtedy: powiedz wpierw, gdzie się Aleksander podziewa, a ja ci powiem, gdzie ojciec, zrozumiałem, że nic tutaj po mnie, bo ojciec też pewnie został wrogo względem mnie odpowiednio urobiony, więc bez słowa się odwróciłem, żeby odejść i zejść im z oczu na zawsze, kiedy Staszek widać się opamiętał, sumienie go ruszyło, a może tylko się nastraszył, że ja wyciągnę względem niego konsekwencje, bo zawołał za mną po imieniu, a jak się zatrzymałem powiedział: nie masz się co obrażać, prawda boli, ale też i leczy, a że dzisiaj narodziny Pana Jezusa, najgorszemu zbrodniarzowi gościny się nie odmawia, wejdz, jak chcesz, ale ja nie wszedłem, wcale nie z obrazy i z zawziętości, tylko zrozumiałem, że pod przymusem nie ma wspólnego stołu i zabitej miłości żadne święto nie wskrzesi, więc powiedziałem: nie chcę ja u ciebie być gościem, a co się tyczy narodzin Pana Jezusa, mogę to wielkie święto gdzie bądź spędzić, choćby na motorze, Pan Jezus zna moje czyny i myśli, i wie, że nie ma w nich zdrady ani sprzedajności, i potem, jak odjechałem z Cierlicy w ten wieczór wigilijny, długo brata Stanisława nie widzia-

łem, doszło mnie, że się cieszył, kiedy mnie zamknięto i rozповідаł, że mi się taka nauczka i zapłata należały, może zmadrzeję i oczy mi się otworzą na niewolę i pogębienie narodu, dopiero w roku 1959, kiedy ojciec zmarł, pojechałem do Cierlicy na pogrzeb, brat mi już wstrętów nie robił, nawet uprzejmy był, ale miłości braterskiej zbrakło między nami, on był dla mnie obcy i ja dla niego też, matka, gdyby żyła, pewnie by bolała na skutek takiego rozpadu najbliższej rodziny, ojciec chyba także, gdyby ostatnich lat życia, biedak, bez mowy i rozumienia nie spędził, bo zimą roku 1956 miał atak paraliżu i tą ciężką niemocą do kresu swoich dni był złożony.

Takie są dzieje moich sióstr i braci z jednego ojca i jednej matki zrodzonych, ale na skutek różnych losów po świecie rozproszonych, a sobie prawie obcych. Zazdroszczę ja rodzinom, które dokoła starej matki i starego ojca gromadzą się w miłości i szacunku, i przy wspólnym stole wigilijnym, albo wielkanocnym wnukowie obok dziadków zasiadają, a rodzice w szczęśliwych związkach małżeńskich żyją, myślę, jakie też moje dzieci będą, kiedy dorosną, łączyć je będzie braterska miłość i rodziców zachowają we wdzięcznym przewiązaniu, czy też, gdy gniazdo rodzinne opuszczą, każde w inną polecą stronę i ani się obejrzy za tym, co zostawił? Najwięcej z mego rodzeństwa myślę o najstarszym bracie, Aleksandrze, on był mądry i wielkiego serca, na pewno by zrozumiał moje nieszczęście, a też i potrafił dobrą radą służyć i kiedy trzeba wesprzeć braterskim ramieniem, ale jego na ziemi nigdzie nie ma i modlić się tylko czasem za niego mogę, choć on pewnie żadnych modłów nie potrzebuje, bo niebo mu zostało zaliczone.

W niedzielę wieczorem

Okropny miałem charakter, nerwowy byłem, łatwo się unosilem, ludzi beształem i poganiałem, bo chciałem,

żeby było najlepiej i żeby wydajność oraz dyscyplina pracy były przestrzegane, tylko podejście nie zawsze miałem właściwe, ale charakter miałem dobry, nie lubię niczyjej krzywdy i zawsze przestrzegałem, żeby każdy, kto zasłużył, premię otrzymał, ale za to każda absencja nieusprawiedliwiona pod surową karę u mnie podpadała, bo tępiłem wszelkie objawy bumenlactwa oraz brakoróbstwa i sam przykład dawałem, jak należy pracować, godzin nadliczbowych nigdy sobie nie zaliczałem, więc innym też, dlatego były z tego względu różne niezadowolenia i nawet protesty, ale ja takich pretensji jednostek nie rozumiejących socjalistycznego podejścia do pracy nie uwzględniałem, bo w wykonanie i przekroczenie planów godziły.

Ja straciłem na uczciwości zdrowie, bo jak te plany inwestycyjne Zakładu Wytwórczości Płyt Trzcinyowych i Domków Jednorodzinnych w Wilkasach zniszczyłem w obecności szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego...

Z planami inwestycyjnymi Zakładu Wytwórczości Płyt Trzcinyowych i Domków Jednorodzinnych w Wilkasach było, jak to już pokrótce zeznałem w Apelacji wysłanej na ręce Obywatela Pierwszego Sekretarza KC PZPR w Warszawie. W wielkim rozżaleniu, że tak tendencyjnie i niesprawiedliwie naświetlono moją działalność na kierowniczym stanowisku, wyjąłem te dokumenty z biurka, w obecności szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, zatrudnionego w wyżej wymienionym Zakładzie, na etacie mikologa, a który to Wiktor Tomaszewski potem Judaszem mi się stał, ale wtedy nie był jeszcze zaprzędany moim prześladowcom, nawet mnie spytał: co to za papiery, Marian?, papiery, odpowiedziałem i dodałem, chodźmy, noga tu moja więcej nie postanie i poszliśmy we dwóch na boczne skrzydło, gdzie miałem mały pokój na wypadek, kiedy pracując w godzinach nadliczbowych, nie opłacało mi się wracać do domu na noc, tam teczkę z planami położyłem na stole, uspokój się, Marian, powiedział szwagier, niepotrzebnie się denerwujesz, obie-

ktywnie spróbuj na wszystko spojrzeć, nie możesz powiedzieć, żeby ludzie tak całkiem racji nie mieli, ty też widzę przeciwko mnie, powiedziałem z goryczą, bo zobaczyłem jasno, że na straconą pozycję zostałem wymanewrowany, nie jestem ja przeciw tobie, on wtedy powiedział, pewnie, żeby mnie pocieszyć, bo wiem, jak pracowałeś i ile dla rozwoju przedsiębiorstwa zrobiłeś, to pewnie dlatego jesteś przeciw mnie?, spytałem, nie denerwuj się, on swoje, mówię przecie, że nie jestem przeciwko tobie, ale przyznasz, ludziom nie mogło być przyjemnie, jak im tak eks katedra odczytano wykaz różnych sprawek, uchybień i grzeszków, albo to nieprawda?, zawołałem, prawda, zgodził się, ale mało przyjemna, wtedy ja na to: trudno, Wiktor, ja nie jestem od lakierowania rzeczywistości i ja na czarne nigdy białe nie powiem, a na białe czarne, tego prawa nie masz ode mnie wymagać, bo ja się żadnym prywatnym interesem nie powoduję, wiem Marian, powiedział, i ja wcale od ciebie nie wymagam, żebyś rzeczywistość lakierował, no więc?, spytałem, nowe czasy idą, Marian, odpowiedział, odwilż, a z twego postępowania ludzie mogli wnioskować, że do okresu błędów i wypaczeń chcesz nawiązać i kult jednostki kontynuować, poczekaj, daj mi skończyć, co sobie ludzie mogli pomyśleć, jak się dowiedzieli, że ich personalia zbierasz i wszystko, co robią w pracy i poza pracą, a nawet z przeproszeniem w łóżku skrzętnie odnotowujesz?, że jesteś dzierzymorda i o wszystkim w przedsiębiorstwie sam chcesz decydować, a kolektyw za nic masz, tak sobie mogli pomyśleć, no i pomyśleli, sam jesteś sobie winien, Marian, nietaktycznie zadziałałeś, teraz masz skutki, tak byłem zdenerwowany, że musiałem bardzo nad sobą zapanować, żeby nie wybuchnąć, ale spokojnie powiedziałem: nietaktycznie, powiadasz, zadziałałem, więc Barański nie sprzedawał materiałów na lewo, Urbaniak nie przychodził do pracy w stanie nietrzeźwym, Rybkowski nie maltretuje żony i dzieci, Nowak nie robi różnym dziewczynom bachorów i od płacenia alimentów się nie

wymiguje, Wachowiak nie słucha każdego wieczoru Wolnej Europy, Małachowski nie bierze łapówek, a Wolny skąd ma forszę, że wciąż na nim nowe ciuchy, „wawele” pali i w „Albatrosie” co sobotę metrowe rachunki płaci, a taki Edek Zuch, ile razy za rozróbki po pijanemu miał z milicją do czynienia i nie tylko jego sprawa, jak się to dzieje, że żadnej jeszcze rozprawy sądowej nie miał, a Rolczek z podejrzanymi indywiduami z inicjatywy prywatnej się nie kuma, Sroka nie opowiada antyradzieckich kawałów i defetystycznych oszczerstw na partię i rząd nie rozpuszcza, długo mógłbym wyliczać różne większe i mniejsze sprawy moich pracowników, ale mi Wiktor przerwał: wszystko prawda, Marian, wiem, że prawda, ale jeżeli to jest prawda, należało konsekwencje wyciągać, a nie wrzucać wszystko do jednego worka i magazynować, powiedziałem wtedy: stuknij się ty, Wiktor, w czoło, mówisz jak ciemny, nieświadomiony czarnoszyjec, jakbym ja naprawdę wyciągał konsekwencje z tego, co jest nie w porządku, z kim ja bym pracował, pytam ja ciebie, trzy czwarte personelu musiałbym zwolnić i to bez wymówienia, w drodze dyscyplinarnej, nie bądź, Wiktor, dzieckiem, ja zbierałem dokumentację, żeby mieć pełne rozeznanie, co się u mnie na Zakładzie dzieje i żeby wiedział z kim mówię, gdybym na ten przykład chciał kiedy w cztery oczy poufnie porozmawiać i powiedzieć: słuchajcie wy, Nowak czy Małachowski, tylko mi nie kręćcie, bo przede mną nic się nie ukryje, wszystko o was wiem, ale ja wam nie chcę szkodzić, ja na was stawiam, jak na pozytywną jednostkę, tylko żądam, żebyście tego a tego nie robili, względnie styl życia odmienili i wstydu swoim zachowaniem przedsiębiorstwu nie sprawiali, powiedz sam, nie miałem racji, to było zamierzenie długofalowe, zwolnić człowieka łatwo, wychować trudniej, rację może miałeś, odpowiedział szwagier, tylko wyszło nie tak, jak trzeba, nie tak, jak trzeba?, powtórzyłem i poczułem, że mnie coś w piersiach okropnie dusi, to się jeszcze okaże, powiedziałem, czy inni będą

robić, jak trzeba, kiedy sobie pójdę, i wtedy, pamiętam, otworzyłem teczkę, co leżała na biurku, i nie śpiesząc się, całkiem spokojnie, począłem drzeć te plany, opamiętaj się, Marian!, krzyknął Wiktor, co to za papiery?, papiery, odpowiedziałem i odsunąłem go, bo mi chciał przeszkodzić, a ja byłem zdeterminowany, z mojej inicjatywy te plany inwestycyjne powstały, więc niech zginą marnie, kiedy ja jestem taki zły i szkodnik publiczny, i darłem dalej, podarte rzucałem do kosza, potem dopiero cisnąłem do pieca, a że był jeszcze żar, szybko się spaliły, widzę Wiktor blady, chustką czoło ociera, Marian, powiedział, wiesz czym to pachnie?, dymem, odpowiedziałem, otwórz okno, bo śmierdzi, Marian, on na to, śmierdzi faktycznie, ale prokuratorem, ty mnie nie strasz, odpowiedziałem, ja jestem czysty jak łąza, potem dopiero zrozumiałem, jakie nieszczęście przez to zniszczenie planów na głowę sobie ściągnąłem, sam jesteś winien, że ludzie gadają, jakbyś nie dał powodów, to by Bóg wie co, nie gadali, sto razy i więcej szwagrostwo, a też i żona kładli mi to w uszy, tak mi się to uprzykrzyło, że przestałem reagować na tego rodzaju docinki, bo ja zawsze dobrze wiedziałem, że nawet jakbym tych planów inwestycyjnych Zakładu Wytwórczości Płyt Trzciniowych i Domków Jednorodzinnych w Wilkasach nie podarł i nie spalił, moi wrogowie inny słaby punkt by w mojej działalności znaleźli, bo jak się chce w kogo bić, jak w ten bęben, zawsze się jakieś „ale” znajdzie, tylko ja nie jestem bęben, ja jestem żywy człowiek i ja straciłem na uczciwości zdrowie, bo jak te plany inwestycyjne w obecności szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, podarłem i spaliłem, poszedłem zaraz do mego zastępcy technicznego, inż. Kazimierza Borsuka, i powiedziałem mu, co się stało, a to był porządny człowiek i od razu chciał mnie uspokoić, że nic się nie stało, bo on ma kopię planów, ale ja przez uczciwość powiedziałem personalnemu całą prawdę, a mógłbym zataić i tego nie zrobiłem i w najlepszej wierze działałem, nie myśląc, że się w ten sposób wy-

stawię na ludzkie plotki i obmowy, to się stało zgodnie z zamysłami moich wrogów, żebym się znalazł na kryzysie, bo choć przez całe osiem lat nie odkryłem nieprzyjacielskich działań, bo ślepy byłem i głuchy, źle się wokół mnie działo, coś czułem, że jest nie tak, jak być powinno, ale istoty problemu nie dostrzegałem, chociaż dostrzegałem, że ludzie dziwnie się ze mną zachowują, milkli na przykład, kiedy do pokoju niespodziewanie wchodziłem, gdy pracowałem w PSS w Lidzbarku, ale udawałem, że niczego nie zauważam, choć coraz większa robiła się wokół mnie izolacja, ja zawsze byłem towarzyski i szczery, nigdy nie lubiłem w pojedynkę chodzić, dla ludzi otwarty i szczery byłem, proponowałem na przykład różnym kolegom, żebyśmy poszli na piwo do „Kolorowej”, ale tak się dziwnie składało, że każdy się wymawiał różnymi zajęciami i z tego względu sam zacząłem na piwo chodzić, raz, pamiętam, się zdarzyło, że kolegę, Kazimierza Dominika z Wydziału Planowania, na piwo zaprosiłem i on się wymówił, że z żoną ma się spotkać, a w godzinę potem w „Kolorowej” go spotkałem w dużym, ale wyłącznie męskim towarzystwie, gdyby obecne były także niewiasty, to bym jeszcze zrozumiał, ale nie, popijał kolega Dominik w samym męskim gronie i jeszcze udał, że mnie nie widzi, plecami ostentacyjnie się odwrócił, choć i młodszy ode mnie i na niższym stanowisku, więc nie wytrzymałem i po jednej setce i dużym jasnym do tamtego stolika podeszłem i powiedziałem nie za głośno, ale i nie za cicho: cześć, kolego Dominik, widzę, żeście się z małżonką rozminęli, dopiero wtedy do mnie się obrócił, ale wcale się nie zmieszał, w oczy mi się roześmiał i spytał: a bo co?, ma pan interes jaki do mojej żony, mogę powtórzyć, toś ty taki!, pomyślałem i powiedziałem: powtarzać nie ma pan potrzeby, bo żadnego interesu do pańskiej małżonki nie mam, zauważyłem tylko, że pan plany zmienił, kolego Dominik, wtedy on całkiem się już nie krępując: a co pan sobie wyobrażał, panie Konieczny, że ja jestem krowa?, zaskoczony spytałem:

dlaczego krowa?, na to on: a bo tylko krowa przeżuwa i sra, a planów i poglądów nie zmienia, a ja jestem wolny obywatel i robię, co mi się podoba, a też bardzo nie lubię, jak kto postronny do moich spraw osobistych nos wsadza i na chama na mnie włązi, jasno się wyraziłem, panie Konieczny?, wtedy się zatrząśłem z oburzenia i doznanej obelgi i nie wytrzymałem i powiedziałem: takie chamy, jak ja, kolego Dominik, za Polskę z hitlerowskim najeźdźcą walczyły i krew przelewały, kiedy pan w krótkich majtkach latał i pod siebie siusiał, tak mu powiedziałem i odszedłem, ale dobrze słyszałem, że oni obraźliwym śmiechem wybuchnęli i ja musiałem się bardzo opanować, żeby wrócić do stolika, a jak usiadłem, poczułem, że ręce mi się trzęsą, więc zamówiłem jeszcze setkę i małe jasne, panna Jola dziwnie trochę na mnie spojrzała, ale podała i ja cały czas starałem się na tamtych nie patrzeć, ale jak setkę wypiliśmy, spojrzałem i co widzę?, kolega Dominik też setkę wychyla, więc mnie się zrobiło nieprzyjemnie i małe jasne podniosłem do ust, a on zaraz to samo uczynił, choć, przysięgłbym, wcale mnie nie podglądał, plecami był obrócony, jak przedtem, kiedy na moje wejście ostentacyjnie się odwrócił, przeczekałem więc chwilę, a potem, wzroku z kolegi Dominika nie zdejmując; lewą rękę podniosłem i spodem dłoni po włosach przeciągnąłem i wtedy mróz mnie po kościach przeszedł, bo on ten sam ruch i także ręką lewą wykonał, ja już prawie nie miałem wątpliwości, że mi chce w ten sposób dać coś do zrozumienia, tylko nie wiedziałem co, więc jeszcze chwilę odczekałem, piwo dopiłem, a potem do kieszeni spodni po chustkę sięgnąłem, patrząc ukradkiem, on też chustkę trzyma w rękę, tyle że ją z górnej kieszeni marynarki wyciągnął, nie ze spodni, teraz cię sprawdzę, pomyślałem, a że czoło miałem spocone, chustką je przetarłem i tak naiwny byłem, że myślałem, iż zaraz zrobi to samo, ale on nos wytarł i chusteczkę złożył i z powrotem do kieszonki marynarki schował, straszne rzeczy wtedy przeżyłem, jakby się ziemia pode mną zatrzęsła, bo po

raz pierwszy uświadomiłem sobie, że jestem śledzony i moi wrogowie tak daleko w nagonce na mnie postąpili, iż zażyczyli sobie, żebym ja wiedział, że oni czuwają i każdy krok mój odnotowują, a to się stało 4 marca roku 1963 i ja dopiero nazajutrz przypomniałem, że to były imieniny ob. Kazimierza Dominika, za judaszową dniówkę kolegów podejmował, potem, myślę, stały etat szpiegowski otrzymał.

Od tej pory, kiedy w MO służyłem, unikałem większego picia, tak do towarzystwa kieliszek, albo dwa, to owszem, ale samemu nigdy, ale tego wieczoru, jak z „Kolorowej” wyszedłem, a było nie później aniżeli siódma, poszedłem, jak się to mówi, w Polskę i nawet nie pamiętam, kiedy i jakim sposobem do domu wróciłem, głowa mnie nazajutrz strasznie bolała i pragnienia w domowym zakresie ugasić nie mogłem, więc w drodze do pracy małe jasne w kiosku wypilem, a że teczkę miałem ze sobą, postawiłem ją na chodniku, o kiosk opierając i już piwo pić chciwie zacząłem, gdy jakby piorun we mnie strzelił, po drugiej stronie okienka nieznajomy facet też teczkę na trotuarze przy kiosku postawił i małe jasne pić zaczął, na mnie przy tym dziwnie raz po raz spoglądając, więc ja spojrzałem na zegarek, on też, zapaliłem „Sporta”, on także, ale „Ekstra Mocnego”, cóż?, pomyślałem sobie, nie każdy szpieg akurat „Sporty” musi palić i ledwie to pomyślałem, tamten gość do okienka się nachylił i o paczkę „Sportów” poprosił, a to wszystko działo się w marcu roku 1963, więc cały rok wcześniej zanim mego szwagra na judaszowaniu przychwyciłem i to wszystko wyższy cel miało, żeby mnie tak zrobić, zgnać i podeptać, żebym Hasło wymienił, za którym rzekome szpiegostwo uprawiałem, oni tego wyraźnie nigdy nie powiedzieli, za sprytni, żeby się nie asekurować, ale od kiedy przestałem być ślepy i głuchy, ja dobrze wiem, co na celu mają i do czego dążą, ale nie doczekanie ich!

A teraz zdam sprawozdanie z rozmowy, jaką miałem

z prezesem PSS'u w Lidzbarku, ob. Ryszardem Kuną, znaczy z moim dawnym kumplem z MO, którego spotkałem, kiedy wyszedłem z aresztu śledczego w Świątkach i dzięki niemu dostałem się na zastępcę kierownika Masarni, a czuję się w obowiązku wzmiankować o tej rozmowie, bo jest ona ważnym ogniwem w łańcuchu, który mi przygotowano, aby mnie spętać i zadławić, ale dla czego akurat mnie, szarego pionka, tego do tej pory nie wiem, czemu mnie na ofiarę upatrzono, myślę czasem, że niczyjej winy nie ma, ani złej woli, ciężka tylko konieczność, bo żeby każda maszyna sprawnie funkcjonowała, musi własny pokarm mieć, inaczej zacznie się zacinać i w ogóle źle pracować, ale możliwe, ja się mylę i wszystko jest inaczej, bez wódki, jak ruscy powiadają, nie rozbierasz, ale co wódka pomoże?, człowiek ten sam stumaniały, lepiej się nie zastanawiać, co, jak i dla czego, rozum ludzki za słaby, swojej racji narodowej i społecznej trzymać się trzeba i nie folgować, kiedy wrogie elementy z Kontrwywiadu zrobić chcą i przycisnąć, ja tę wspomnianą wyżej rozmowę z ob. Ryszardem Kuną, jeszcze w roku 1963, na świeżo ją mając na pamięci, zanotowałem na życzenie ob. docenta dr. Stefana Plebańskiego i do jego osobistego wglądu, ponieważ zażyczył, żebym niektóre epizody życia na piśmie utrwalił, co też uczyniłem, a odpisy tych dokumentów zawsze mam przy sobie, żeby kto niepowołany nie miał do nich wglądu, teraz też je trzymam w specjalnej teczce, więc dla szczegółowej informacji Obywatela Pierwszego Sekretarza pozwolę przepisać ten dokument, niczego nie zmieniając, ponieważ wszystko jest tam wiernie zapisane, jak było, uzupełnić tylko muszę, że rozmowa miała miejsce w kwietniu roku 1963 i ten incydent dużo nerwów oraz zdrowia mnie kosztował, rychło jednak doświadczyć miałem na własnej skórze, że wroga ręka jeszcze gorsze pułapki na mnie zastawi, a względem tej rozmowy także nadmienić muszę, że tego dnia, idąc do pracy, wypilem duże jasne w kiosku przy 22-ego Lipca, ale nikt mnie nie szpiego-

wał, albo ja nie zauważyłem, nie czułem się dobrze, wy-
piłem trochę poprzedniego dnia, ale nie za dużo, akurat
tyle, żeby robaka zalać, bo w ogóle źle się czułem, coraz
nerwowszy byłem i łatwo się unosiłem, albo w odrętwie-
nie znieczulicą zwane popadałem i nic mi się nie chciało,
żadnej ochoty życia we mnie nie było, ale też były obiek-
tywne przyczyny mego stanu, kto inny na moim miejscu
pewnie jeszcze gorzej by się czuł, czuję się zobowiązany
zaświadczyć, że ob. docent dr Plebański niejednokrotnie
i zawsze przyjaźnie mi wyjaśniał, że moja choroba polega
na urojeniu, że mianowicie tylko mi się przewidziało na
skutek osłabienia nerwowego, że prześladuje mnie Kontr-
wywiad, nikt bowiem o zdradę mnie nie posądza i za
agenta obcego wywiadu nie uważa, a to podobno było
sprawdzone w wojewódzkim UB, ja to stanowisko ob.
docenta dr. Plebańskiego jak najbardziej rozumiem, bo
ono wynika ze szlachetnych pobudek, mnie tak mówiąc
chce Docent pokrzepić na duchu i podbudować, dlatego
ja się na ten kontrowersyjny temat w żadne dyskusje nie
wdaję, zresztą Docent zna moje bezkompromisowe stano-
wisko i nawet, przypuszczam, ma z tej racji szacunek dla
mojej postawy i ceni, że nie jestem oportunistą i kosztem
zdrowia oraz nerwów angażuję się w walkę o należną
sprawiedliwość. Bardzo wiele sobie obiecuję po wysła-
nym piśmie apelacyjnym, pewnie jeszcze potrwa nim od-
powiedź otrzymam, ale już teraz muszę się przygotowy-
wać, że każdego dnia może zaistnieć okoliczność na osobis-
tą audiencję u Obywatela Pierwszego Sekretarza w Kom-
itecie Centralnym, więc muszę jak najwydajniej pracować,
żeby być przygotowanym na wyjazd do Warszawy i mieć
w razie czego pełną dokumentację, szczegóły w mojej
sprawie są pierwszorzędного znaczenia i jestem przekon-
nany, że Obywatel Pierwszy Sekretarz po zapoznaniu się
z moim pismem, na pewno widzenia mnie oraz pełnych
materiałów zażąda. Moi prześladowcy wypierają się
swoich machinacji, zawsze w tym kłamliwym duchu na
interpelacje postronnych osób odpowiadali i tym tłuma-

czę fakt błędnej oceny ze strony ob. docenta dr. Plebańskiego, oni mają swoje sposoby, żeby nawet tak wykształcona i uświadomiona jednostka, jak Docent, dała się wymanewrować, ale ja wierzę, że wobec autorytetu Obywatela Pierwszego Sekretarza na nic się zdadzą obłudne wykręty i tendencyjne przekręcania faktów, będą musieli skapitulować, w Jugosławii w ubiegłym roku latem tamtejszy minister UB próbował się wynieść ponad Partię i Rząd, ale w porę został zdemaskowany i ze wszystkich urzędów oraz godności zdjęty, a to jest ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy siebie ponad Partię wynoszą i na wrogie pozycje się staczają, Obywatel Pierwszy Sekretarz na pewno w wielu wypadkach jest niedostatecznie informowany, a może nawet świadomie wprowadzany w błąd, z tego więc punktu widzenia moje pismo, choć od szarego obywatela, może być zbawiennym sygnałem alarmowym, bo moja krzywda nie jest prywatną sprawą jednostki, a szerszy posiada aspekt, trzeba ją tylko właściwie ustawić, a to na pewno Kierownictwo Partii uczyni i żałuję, że dopiero teraz, zapomniałem o ważnej rzeczy nadmienić, dzisiaj, mianowicie, przed południem przyszedł na Klinikę, jak to zapowiedział Docent, ten socjolog, z żoną przyszedł, też podobno jest socjologiem i na Uniwersytecie pracuje, bardzo mi się wydała przystojna niewiasta, a on też się dobrze prezentuje, wysoki, postawny blondyn, powiedziałbym sportowiec albo aktor, nie ma w wyglądzie nic z uczonego i bardzo młodo wygląda, ja bym mu nawet trzydziestki nie dał, ale od siostry Irenki, bo go przyjmowała w pokoju zabiegowym, wiem, że liczy lat 36, a na imię ma Maciej, nazwiska zapomniałem, jakieś krótkie, na specjalnie chorego też nie wygląda, mocno opalony, pewnie na jeziorach, albo gdzie z Orbisową wycieczką nad morzem południowym spędził wakacje, pijamę ma własną, szlafrok też, od razu widać, że zagraniczne, oczy tylko ma trochę niespokojne i w ogóle trochę zanadto ożywiony, ciekawy jestem, co mu jest, nie wygląda na depresję, ani stany lękowe, może

alkohol, albo inne narkotyki?, dostał na razie łóżko na korytarzu po Doktorze, który popełnił samobójstwo, ale pewnie niedługo go przeniosą, wcale nie wykluczone, że do nas pod trzydziestkę, bo nie jestem przekonany, czy Francuz wróci, dzisiaj poszedł do domu na przepustkę, ale bardzo wątpię, czy jutro wieczorem wróci, myślę że nie i w poniedziałek rano żonę przyśle po rzeczy, a sam się już nie zjawi, tak coś w tym rodzaju dawał do zrozumienia, kiedy przed obiadem na przepustkę wychodził, nawet się dziwię, że mu przepustkę dali, bo wczoraj była wielka awantura z Docentem, Francuz w czasie obchodu zaczął się stawiać i nawet powiedział, że jest zdrowy i Docent na to okropnie się rozżłościł, zaczął krzyczeć, że tylko on decyduje, kto jest, a kto nie jest zdrowy i starczy jedno jego słowo, żeby niezdyscyplinowany pacjent został odtransportowany do Tworek, albo Drewnicy, z Rafałem wszystko w porządku, na pewno mi się wtedy przewidziało, to bardzo porządny chłopak, bardzo go lubię, ma całkiem nieźle umeblowaną głowę, nawet się w bridża trochę poduczył, a jak przyszedł, kolorów nie rozróżniał i w figurach się nie orientował, nie wiem jeszcze od kiedy Socjolog zacznie pracować w pokoju psychologa, na razie nie wygląda, żeby się potrafił naukowo skupić, ale na wszelki wypadek tak jestem psychicznie nastawiony, że jeszcze jutro tu przyjdę, ale od poniedziałku na oddziale będę pracować, żeby nie było żadnych niepotrzebnych konfliktów i tak to dzisiaj Docentowi zameldowałem, a on nic nie powiedział, przyjął tylko do wiadomości, ale myślę... skończę na dzisiaj, bo niepokój mam coraz większy i ręka mi ucieka...

W niedzielę rano, gdy o godzinie 11-ej Pułkownik oraz Rafał poszli na spacer, Konieczny wykorzystał to i zeszyt rozłożywszy na łóżku zapisał:

Zapomniałem zapodać wczoraj rozmowę, jaką miałem z ob. Ryszardem Kuną, dyrektorem PSS'u w Lidz-

barku, a moim kolegą z MO w Augustowie, według tego, jak ją zapisałem w lecie roku 1963 na życzenie ob. do-
centa dr. Stefana Plebańskiego i odpis takowej mam ze
sobą, więc z tej racji mam możliwość wiernie ją zapodać
do wiadomości Obywatela Pierwszego Sekretarza. Nad-
mieniam, że rozmowa miała miejsce w dyrektorskim ga-
biniecie ob. Ryszarda Kuny, bo ledwie przyszedłem do
pracy, on zawezwał mnie do siebie, zawsze uważałem,
żeby przy ludziach zwracać się do ob. Ryszarda Kuny w
urzędowej formie, tylko jak byliśmy w cztery oczy, mó-
wiłem mu, jak dawniej: ty.

Ob. Kuna. Cześć stary! Coś taki blady, przyznaj się,
łajdaczyłeś się w nocy, stary koniu?

Ja. Coś ty, gdzie mi takie rzeczy w głowie?

Ob. Kuna. Szkoda, to by ci dobrze zrobiło na nerwy.

Ja. Ja jestem spokojny, nie potrzebuję takich leków.

Ob. Kuna. Widzę, Marian, szczerze nie chcesz ze
mną mówić. Ja, widzisz bracie, nie prowadzę, jak ty kie-
dyś w Wilkasach kontrolki pracowników, ale może i le-
piej wiem, co się dzieje na przedsiębiorstwie i w ogóle.
Co ty takiego robisz, stary, że ludzie nie mogą z ciebie
zejść i trzęsie się od plotek na twój temat?

Ja. Ja nic nie robię.

Ob. Kuna. To źle. Wiesz ty, Marian, ile ja telefonów
na twój temat odbieram, a ile anonimów? Masz dzisiaj,
aż trzy przyszły, obywatel Konieczny taki, obywatel Ko-
nieczny owaki.

Ja. A ty wierzysz?

Ob. Kuna. Nie denerwuj się, Marian. Kto ci powie-
dział, że ja wierzę? Nie od dzisiaj cię znam, wiem, że
jesteś porządny chłop, tylko zrozum, wejdź w moje po-
łożenie, ja, jak ludzie wygadują na jednego z moich
współpracowników, muszę się jakoś ustosunkować. Coś
ty pozawczoraj Dominikowi nagadał? Przypomnij sobie.

Ja. Ja dobrze pamiętam, co obywatelowi Domini-
kowi powiedziałem.

Ob. Kuna. Że cię szpieguje i jest agentem jakiegoś Kontrwywiadu?

Ja. Nie on jeden.

Ob. Kuna. Ja może też?

Ja. Ja nic na razie do ciebie, Rysiek, nie mam.

Ob. Kuna. Na razie powiadasz? No, jak na starego kumpla, któremu w ciężkiej sytuacji rękę podałem, wcale nieźle. Słuchaj, Marian, ja będę z tobą szczerzy, bo inny być nie chcę i nie potrafię. Czy ty byś przypadkiem nie poszedł do dobrego lekarza, serio mówię, jest u nas, sły-
szałem, poradnia dla nerwowców...

Ja. Wariata chcesz ze mnie zrobić?

Ob. Kuna. Właśnie, żebyś nie został, leczyc ci się, Marian, radzę, ponioł? Nie masz się czego wstydzić, cza-
sy nie łatwe, a nerwy nie u każdego, jak granica na Odrze i Nysie, zastanów się, my ci pójdziemy na rękę, pójdiesz na chorobę, podleczysz się, odpoczniesz, nerwy podreperujesz, medycyna wysoko teraz stoi, dobrze ci radzę.

Ja. Obywatel Dominik też tak pewnie radzi?

Ob. Kuna. Coś ty się na niego zawziął? Powiedział, że zaczepki u niego szukasz.

Ja. To czego mnie szpieguje i małpę z siebie robi?

Ob. Kuna. Jakto małpę? Marian!

Ja. Zwyczajnie, przedwczoraj na piwo zaszedłem do „Kolorowej” i on wszystko, co zrobiłem, zaraz mnie przedrzeźniał i małpował.

Ob. Kuna. Oj Marian, Marian, gorzej z tobą, chłopie, niż myślałem. Stuknij ty się w głowę, na co Domi-
nik ma cię małpować?

Ja. Już on dobrze wie na co. A jak myślisz, za jakie pieniądze on sobie w zeszłym tygodniu za trzydzieści ka-
wałków Lambrettę kupił?

Ob. Kuna. Coś ty, nie wiesz, że w Toto-Lotka wy-
grał, piątkę miał trafioną?

Ja. Że piątkę, to by się, owszem, zgadzało, tylko nie
w Toto-Lotka, dobrze ja znam takie Toto-Lotki, które

całkiem inaczej się nazywają, chcesz wiedzieć, to ci powiem, na mojej krzywdzie obywatel Dominik zadaje szuku i rozbija się po mieście, Judasz przekłęty!

Z dalszego przebiegu rozmowy z ob. Ryszardem Kuną nie posiadam sprawozdania, bo pod koniec bardzo byłem zdenerwowany, ale to, co wyżej zapodałem, świadczy wystarczająco za dowód, jakie intrygi wokół mojej osoby roztoczono i jak w tej sytuacji nawet taki niby przyjaciel, jak ob. Kuna, oportunistyczną zajął postawę, może on i nie był bezpośrednio z Kontrwywiadem związany, ale orientując się, jak jest, wolał się nie narażać i jak Piłat ręce umyć, co mnie bardzo zabolalo i zdeprymowało, bo już widać w niewdzięczną niepamięć poszły dla niego lata wspólnej żołnierskiej niedoli, kiedy człowiek z rana się budząc żadnej pewności nie miał, czy wieczora dożyje i nie przyjdzie mu paść od zdradzieckiej kuli wroga. Ja już teraz wybaczyłem ob. Kunie, że się tak asekurancko do mnie ustosunkował, bo nie żyje i w ogólnym podsumowaniu porządnym był człowiekiem, tylko w wygodnictwie zasmakował i już w nim nie było elementu walki, ale Bóg miłosierny, gdy zważył jego cnoty i przewinienia, pewnie go surowo nie osądził i na wieczne potępienie nie zesłał, Socjolog na spacer nie poszedł i po korytarzu spacerował, zauważyłem, że przechodząc kilka razy w moją stronę popatrzył.

Po południu w pokoju psychologa:

NOTATKA INFORMACYJNA
dla Obywatela Pierwszego Sekretarza KC PZPR
oraz Kierownictwa o łamaniu praworządności
przez czynniki Kontrwywiadu.

W inwigilacji oraz prowokacjach stosowano względem mojej osoby różne metody aż do użytkowania Mózgu Elektronowego, o czym tylko wzmiankować mogę,

ponieważ nie posiadam odpowiedniej kompetencji, aby ze szczegółami zapodać, jak wymieniony Mózg funkcjonuje i w czym się przejawia jego szpiegowskie działanie, w każdym razie jestem w stanie jak najkategoryczniej stwierdzić, że Mózgu Elektronowego używano do poruczeń specjalnych, wtedy mianowicie, gdzie bezsilni się okazywali agenci oraz szpiedzy, a ustalić chciano, co robię, kiedy jestem sam. Jestem w posiadaniu licznych dowodów, iż w różnych okolicznościach nadawano mi sytuacje o charakterze intymnym, a czyniono to tak zrzęcznie i dyskretnie, że tylko ja jeden zrozumieć mogłem sens przeróżnych gestów i min, podsuwanych mi przez nasłanych agentów. Ja ufam, że Kierownictwo Partii podejmie odpowiednie kroki dla ustalenia wszystkich okoliczności, towarzyszących działalności Mózgu Elektronowego, nie jest bowiem wykluczone, że taki potężny i niebezpieczny oręż w rękach elementów nieodpowiedzialnych może być również przeciwko Kierownictwu skierowany, godząc w jedność Partii oraz w demokratyczne podstawy budownictwa socjalizmu.

Oprócz Mózgu Elektronowego główna akcja Kontrwywiadu względem mojej osoby wyraża się: 1) w organizowaniu sieci agentów oraz szpiegów, inwigilujących wszelkie moje czynności, 2) w wyćwiczeniu owych agentów i szpiegów, aby bezustannym małpowaniem utrzymywali mnie w ciągłym napięciu nerwów, co jest bardzo męczące i 3) w podstawianiu osób znanych mi osobiście, albo z widzenia, a to celem wybadania, czy którejs z tych osób nie zidentyfikuję, jako agenta obcego wywiadu i nie zdradzę jej Hasła, w którego posiadaniu jestem jako by według fałszywych oskarżeń.

Ad. I.

Trudno mi dokładnie zapodać na okoliczność, jak wielu agentów oraz szpicli zorganizował i uruchomił Kontrwywiad dla śledzenia mnie i inwigilowania, w przybliżeniu obliczam ich na trzydzieści tysięcy obojga

plci, a opieram to na zaistniałych faktach, że chociaż mam do twarzy dobrą pamięć, nigdy w ciągu lat dwunastu nie zauważyłem, żeby ten sam mężczyzna, albo ta sama niewiasta dwukrotnie się objawiali w polu mego widzenia w charakterze nasłanych agentów, więc zakładam że dla kontrolowania każdego mego kroku, uwzględniając dojazdy do pracy, oraz wyjazdy do Łodzi do Technikum, a także do T. w celach leczniczych, musiano werbować dziennie co najmniej siedmiu agentów, trójkę i dwie dwójki, co miesięcznie daje cyfrę dwustu dziesięciu najemników, na rok 2.520, a na przestrzeni lat dwunastu 30.240, uwzględniam, że liczba powyższa tylko w przybliżeniu daje wyobrażenie o rozmiarach podjętej przeciwko mnie akcji, nie uwzględnia ona bowiem tych wszystkich, którzy, jak na ten przykład mój szwagier, ob. Wiktor Tomaszewski, czy inni z Zakładów pracy, gdzie byłem zatrudniony, na stałych byli etatach szpiegowskich i tak długo, jak tego obiektywne okoliczności wymagały, nawet w przybliżeniu nie umiem ja ustalić, ile jednostek obojga płci pracowało w tej klasyfikacji, z pewnością nie mało i ogromne sumy musiało to kosztować, że nie wspomnę o kosztach natury moralnej, bo te także bardzo wysoko się liczą.

W odróżnieniu od agentów stałych, czyli etatowych, związanych z funkcjami przez nich wykonywanymi i działających indywidualnie, umasowieni agenci rzadko kiedy działają pojedynczo, zazwyczaj ze względów taktycznych organizowani są w dwójki, albo w trójki, aby upatrzonej ofierze dać wszechstronne wyobrażenie o potężnych środkach znajdujących się w dyspozycji Kontrwywiadu. Inwigilacja personalna, jak zauważyłem, nigdy nie trwa cały dzień, bo dzięki sprawnej organizacji, polegającej na nieprzerwanym przejmowaniu potrzebnych informacji, osobnicy nasłani w dwójkach, albo w trójkach ograniczać się mogą do sporadycznych wystąpień, tak przecież działając, iż inwigilowany nabiera przekonania, że bez przerwy przebywa pod obserwacją i kontrolą, myślę, że orga-

nizacyjny system Kontrwywiadu, niewątpliwie mający coś do czynienia z Mózgiem Elektronowym, przeniesiony na inny teren i właściwie użytkowany, mógłby przynieść bardzo wiele korzyści na polu politycznym, społecznym i gospodarczym, wymagałoby to jednak poważnych i wnikliwych studiów, też ludzi wyrobionych i ideowo na poziomie.

Ad. II.

Działalność obu kategorii agentów zarówno etatowych, jak umasowionych zasada się przede wszystkim na powtarzaniu sytuacji, w których inwigilowany się znajdował, względnie czynności oraz gestów i min, jakie wykonywał, wspomniane wyżej zachowanie ob. Kazimierza Dominika, a też mego szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego jest pod tym względem bardzo typowe.

Ad. III.

Ma jeszcze Kontrwywiad na swych usługach trzecią kategorię agentów i oni najwyższe pobory otrzymują, bo obok wielu cech koniecznych dla szpiegów muszą posiadać właściwości bardzo specjalne i dla nich wyszukiwani są i wybierani spośród wielu tysięcy kandydatów, a rolę jaką spełniają ma charakter prowokacyjny i ja się z tym objawem po raz pierwszy spotkałem na jesieni roku 1963, kiedy przyjechał na pasterską wizytację Jego Eminencja ks. Kardynał Prymas i ja od jednego z księży dowiedziawszy się o dniu i godzinie przybycia Dostojnego Gościa pod kościół św. Piotra i Pawła się udałem i brałem udział wraz z innymi wiernymi w powitaniu Księcia Kościoła i głośno też z innymi wołałem: niech żyje Kardynał!, potem niecałe trzy tygodnie minęły i jednego popołudnia, jak zaszedłem do „Kolorowej” na piwo, ks. Kardynała, a raczej Jego prowokatorskiego sobowtóra mi podstawiono, nawet go nie spostrzegłem, kiedy weszłem do środka, dopiero, jak usiadłem i rozejrzałem się po sali, siedział sam przy stoliku pod oknem,

oczywiście po cywilnemu, w ciemnym garniturze, jadł kotlet schabowy, a popijał też piwem, w pierwszej chwili przysiągłbym, że to we własnej postaci Kardynał, długo się musieli naszukać, żeby taką identyczną imitację znaleźć, zrozumiałem zaraz, że liczyli, że ja się na tym oszukaństwie nie poznam, kontakt nawiążę i kto wie, może nawet Hasło wyjawię, ale się dostatecznie w obyczajach Książąt Kościoła nie orientują, bo gdyby opanowali materię tak delikatną, nie daliby sobowtórowi fałszywych instrukcji, a tak wskutek niedopatrzania i ignorancji fałszywy Kardynał wciąż w moją stronę spoglądał i tak natrętnie, iż zaraz odgadłem że z szalbierstwem i prowokacją mam do czynienia, więc nie dopiwszy piwa do końca, wstałem, zapłaciłem i wyszedłem z lokalu, to był pierwszy raz, jak zaznaczyłem, że mi autentyczną osobę podsunęto, potem wielokrotnie podobne prowokacje miały miejsce, a że osoby, które mi podstawiano, należały do kategorii nie tak wysoko eksponowanych, jak Kardynał, ja nie zawsze od razu w oszukaństwie mogłem się zorientować, raz na przykład, we wrześniu roku 1966, spotkałem przypadkowo na ulicy pewnego człowieka, który razem ze mną w MO w Augustowie służył, ale z końcem roku 1945 został zdemaskowany za należenie do band NSZ'tu, potem skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia i okazało się, jak go spotkałem, że na podstawie amnestii w ramach Tysiąclecia został przedterminowo zwolniony, nie rozmawialiśmy długo, bo po tylu latach i takich drastycznych przejściach niewiele mieliśmy sobie do zakomunikowania, on zresztą przejazdem był tylko i miał pociąg do Gdańska wieczorem, pożegnaliśmy się, aż tu nazajutrz, kiedy rano wyszedłem za sprawunkami, przy kiosku „Ruchu” go zobaczyłem, spacerował, jakby na kogo czekał, więc, żeby nie pomyślał, że ja ze względu na jego przeszłość nie chcę z nim mieć do czynienia, podszedłem i powiedziałem: nie wyjechałeś, widzę, wtedy on na mnie bardzo jakoś dziwnie spojrział i powiedział: daj setkę, to pojedę, trochę mnie to zaskoczyło, ale

nie bardzo, bo sobie zaraz pomyślałem, że mu na bilet pieniędzy zabrakło, a że miałem pieniądze na zakupy wyjąłem setkę i powiedziałem: stu ci dać nie mogę, bo mi na zakupy nie starczy, ale pięćdziesiąt, niech będzie pięćdziesiąt, on na to powiedział, daj, bracie, to zmienię, więc mu dałem sto, a on wziął i do kiosku „Ruchu” poszedł, zaraz też wrócił z dwiema pięćdziesiątkami, mnie dał jedną, drugą do kieszeni schował i powiedział: posta-wiłbyś, Wacek, jednego, ja nie piję, odparłem, bo rzeczy-wiście od pobytu na Klinice, za wskazaniem ob. docenta dr. Plebańskiego kropli alkoholu nie użyłem, parę tylko razy małe piwo, jak było bardzo gorąco, a poza tym, dodałem, ja jestem Marian, a nie Wacek, wszystko jedno, powiedział, Marian też pod setkę dobry, i tak się przy tym dziwnie, krzywo jakoś uśmiechnął, że w uzębieniu braki poważne odsłonił, ja wtenczas od razu w sytuacji się zorientowałem, że on nie jest prawdziwy Władek Jesio-nowski, bo tamten, choć tyle lat przesiedział, zęby zacho-wał zdrowe i białe jak u wilka, więc jak ten prowokator tak się do mnie bezczelnie odezwał, ja szybko się pożegna-łem, nawet nie chciałem o te pięćdziesiąt złotych kwestii wszczynać, bo byłem zadowolony, że w gorszą kabałę niechcący nie zabrnąłem, gdybym się na wódkę z nim zgodził, tak się ta przykra sprawa zakończyła i wiele jesz-cze innych znajomych osób podstawiano mi w różnych okolicznościach, tak między innymi nadano mi ob. Fran-ciszka Wachowiaka, dawnego mego pracownika z Zakła-du Wytwórczości Płyt Trzcinyowych i Domków Jednoro-dzinych w Wilkasach, ob. doktor Zofię Młodzianowską z Kliniki Psychosomatycznej w T., która na zlecenie Do-centa przeprowadzała ze mną rozmowy w roku 1963 oraz w roku 1964, także ob. Marię Bratek, przebywającą na kuracji na tejsze Klinice z powodu stanów lękowych z towarzyszeniem niedowładu w nogach i dlatego nie mogła chodzić o własnych siłach i ja jej nieraz w cho-dzeniu pomagałem i przy tej okazji wiele z nią rozmawia-łem na tematy życiowe oraz ogólne, zawsze się jednak

w porę co do charakteru podstawianych osób orientowałem i prowokacje moich wrogów w zarodku demaskowałem, co mnie od poważnych komplikacji i innych niebezpieczeństw uchroniło, a teraz już muszę kończyć, bo jest pół do dziesiątej, ostatnia to moja chwila w pokoju psychologa i ja słowa nie mam, żeby wypowiedzieć wdzięczność dla tych czterech ścian, które mojej pracy towarzyszyły przez całe siedem dni, bardzo się z tym miejscem zżyłem i teraz, kiedy pora je opuścić, takie odnoszę wrażenie, jakbym część siebie w tych murach pozostawiał, ale martwe ściany lepsze od ludzi, bo nie podsłuchują i głosu nie mają. Żegnajcie mi, kochane moje!

W ciągu poniedziałku Konieczny, w pokoju i na korytarzu, zanotował:

Moja diagnoza, co do zamiarów Francuza całkiem słuszną się okazała, bo jak przewidywałem nie wrócił wczoraj wieczorem z przepustki, dzisiaj też się nie zjawił, za to jego żona przyszła, ale krótko w gabinecie Docenta bawiła, ja byłem na korytarzu, więc widziałem, że wyszła bardzo zdenerwowana, a potem siostra Irenka pomogła jej zebrać osobiste rzeczy męża, ja przez delikatność zostałem na korytarzu, nieładnie postąpił, tak dorosły i kulturalny człowiek nie robi, dziwię się, że to zrobił, nigdy nie miałem dla niego większej sympatii, ale wolałbym, żeby po męsku całą sprawę załatwił, wcale dobrego świadectwa nie wystawił swemu pracowitemu i utalentowanemu narodowi...

My w bridża gramy w tym samym zawsze zestawie, to znaczy ja, Pułkownik oraz dwaj inżynierowie Skowrońscy, którzy wcale się przedtem nie znali, dopiero tutaj doszli, że ich rodziny są z jednej wsi w kieleckim i tak się składa, że obaj są inżynierami, tylko inż. Zbigniew Skowroński mieszka stale w Szczecinie, a drugi,

Bronisław, w Warszawie, obaj cierpieli na stany depresyjne, ale teraz są o wiele lepiej, bardzo się nam dobrze gra w tym zestawie, ale dzisiaj Pułkownik nie chciał grać zaraz po obiedzie, bo powiedział, że się czuje przeziębiony, więc poszedł się położyć, a my zaczęliśmy szukać czwartego i okazało się, że dr Maciej Gwara bardzo lubi bridża, więc go zaprosiliśmy, bardzo sympatyczny człowiek, nieźle gra w bridża, tylko on lubi konwencję treflową, której my dobrze nie znamy, więc graliśmy normalnie, on gra sympatycznie, tylko trochę nierówno, ponosi go i raz, kiedy akurat ze mną partnerował, po mojej odzywce we dwa piki od razu zaliczył szlemika w piki, leżałem bez dwóch, chociaż mogłem wyjść na swoje, ale się zdenerwowałem i nie tak, jak trzeba rozegrałem trefle ze stołu, ale on się wcale nie złościł i nawet taką miał minę zadowoloną, jakbyśmy nie szlemika, ale szlema zrobili, potem, jakeśmy trzy robry rozegrali, odciągnął mnie na bok i powiedział, że wie od Docenta, że ja z pokoju psychologa korzystam i jeśli moja praca tego wymaga, dalej mogę ją kontynuować, bo on na razie o żadnej robocie serio nie myśli, może za kilka dni, kiedy się oswoi z nowym otoczeniem i nowymi warunkami, a potem bardzo życzliwie mnie wypytywał, co ja robię, powiedziałem otwarcie i było mi przyjemnie, że choć tak wykształcony słuchał mnie z uwagą i zrozumieniem, i tak od słowa do słowa dużo mu o sobie powiedziałem, chodziliśmy po korytarzu, bo mnie jak spaceruję najlepiej się mówi, mniej jak jestem w ruchu dokuczają mi niepokój, ale on, widać do spacerowania w takiej ciasnocie nieprzyzwyczajony, bo wciąż się za jakimś siedzeniem rozglądał, a i słuchał coraz nieuważniej, wreszcie powiedział: niech się pan nie gniewa, panie Konieczny, ale nie mogę chodzić tak w te i wewte, zaraz mi się więzienie przypomina, nie wytrzymałem i powiedziałem: no, pan, panie doktorze, na pewno chyba nie siedział, a on na to: tak pan myśli?, to się pan myli, bo co trzeci Polak kiedyś za coś tam siedział i ja właśnie jestem ten trzeci, taki czło-

wiek, jak pan, powiedziałem, wierzyć się nie chce, ale jeżeli pan istotnie jaką karę odbywał, to chyba tylko za patriotyzm, tak uważam, wtedy on się roześmiał, ale nic nie powiedział, nie zaprzeczył mnie, ale i nie potwierdził, a ja go więcej w tym kierunku nie naciskałem, tylko pomyślałem sobie, że jeśli taki człowiek też kiedyś w więzieniu siedział, mnie lżej powinno być w moim nieszczęściu, ale wcale ulgi nie poczułem, a nawet ciężko mi się na sercu zrobiło, a ponieważ usiedliśmy przy stoliku na korytarzu, powiedziałem: przepraszam, panie doktorze, ale znowu mam większy niepokój, i wyjaśniłem mu na czym mój niepokój polega, że to uboczny skutek lęków i całkiem mi minie, kiedy wrócę do domu i normalne zacznę z żoną współzycie małżeńskie, a wtedy ta w różowym szlafroku, jakby spod ziemi wyrosła, stanęła przy nas i do mnie powiedziała: o, pan Konieczny, widzę nie pisze!, mnie się bardzo zrobiło nieprzyjemnie na taką obcesową odzywkę, ale spokojnie starałem się dać jej odpór, a skąd pani wiadomo, że ja piszę?, spytałem, zaśmiała się beczelnie, a to jest tajemnica?, spytała, żadna tajemnica, odpowiedziałem, tylko ja się nie wypytuję, co pani robi, a czego nie robi, ona na to znów się zaśmiała, mnie pan może śmiało pytać, powiedziała, ja przed panem nie mam tajemnic, nawet, jakby je pani miała, odparłem, ja nie jestem ich ciekawy, o, jaki nieuprzejmy z pana mężczyzna!, ona na to, ja do pana życzliwie z sercem, a pan się obraża, wcale się nie obrażam, rzekłem stanowczo, tylko nie lubię, ale nie skończyłem, co chciałem powiedzieć, bo się do rozmowy doktor Gwara wtrącił, ale nie pamiętam dokładnie, jak się wyraził, bardzo jakoś inteligentnie, w każdym razie Różowa od razu się uspokoiła, też coś powiedziała i poszła sobie, ale myśmy już nie nawiązali do niedokończonej rozmowy, bo mój niepokój bardzo się przez ten incydent powiększył, więc prosiłem mego współrozmówcę i poszedłem do pokoju, ale chociaż byłem prawie jak sam, bo Pułkownik spał, a Rafał grał na oddziale kobiecym w warszawy, pracować

nie mogłem tak mi pod wpływem niepokoju ręka uciekała, więc się położyłem, ale usnąć nie dałem rady, myślałem za dużo, aż doszedłem do wniosku, że wobec zaistniałych faktów muszę bardzo uważać i specjalną czujność zachować, ona przyszła na Klinikę z interny, chyba będzie tydzień, blondynka, wygląda na dwadzieścia pięć, sześć lat, chodzi w różowym szlafroku i koszuli także różowej, tylko jaśniejszej, nie wiem, co jej jest, ale bardzo niespokojna, ma wypieki na twarzy i oczy podejrzanie jej błyszczą, wciąż się kręci na męskim oddziale, do nas też kilka razy o różnych porach zaglądała natrętnie i próbowała nawiązać towarzyski kontakt z Francuzem i Pułkownikiem, mnie wyraźnie unikała, też mnie zaskoczyło, że się dzisiaj wprost zwróciła, ostatnio zauważyłem, że się trochę uspokoiła, bo się bawi w siostrę miłosierdzia i wozi na wózku młodego chłopca, którego w środę wieczorem przywieziono po wypadku tramwajowym z nogą w gipsie, musiał mieć szok nerwowy, całą noc okropnie jęczał i majaczył, także potem w dzień, teraz ma się lepiej, ale z nikim nie chce rozmawiać, jej tylko pozwala się wszędzie wozić, do toalety, czy umywalki, albo dla przejażdżki po krytarzach, ona mówi panie Witku, a on per ty, Monika, jej rola pielęgniarki bardzo pasuje, bo jest kryta i popychając wózek z chłopakiem swobodnie może się poruszać i podpatrywać, Bogu jednemu wiadomo, czy jest nasłana, czy nie, pewności na sto procent nie mam, ale tym bardziej muszę uważać, taka jedna, jak jej dobrze zapłaca, lepiej potrafi zrobić niż dziesięciu mężczyznom, ani się człowiek obejrzy i już, jak królik doświadczalny, jest spreparowany i rozpracowany. Po namyśle postanowiłem nie korzystać więcej z pokoju psychologa, żeby na różne gadanie i plotki niepotrzebnie się nie podstawiać, a to też na wszelki wypadek, bo jeszcze pewności nie mam, czy Kontrwywiad zwąchał, co się dzieje i odpowiednie kroki względem mnie poczynił, jeszcze za mało znam doktora Gwarę, żeby się go w tej kwestii poradzić, a on mnie też w jednym punkcie

zastanowił mocno, spytał mnie, mianowicie, czy będę moją sprawę uważał za definitywnie wyjaśnioną i zamkniętą, jeśli w odpowiedzi Obywatela Pierwszego Sekretarza stwierdzone zostanie, że nikt nigdy mnie nie przesładował i żadne zarzuty natury antypaństwowej na mnie nie ciążyą. Ja na początku nie bardzo zrozumiałem, co ma na myśli, jakto?, powiedziałem, to przecież niemożliwe, a dlaczego?, spytał, powinien pan i taką odpowiedź brać pod uwagę, na to ja: nie, panie doktorze, ja takiej ewentualności w ogóle zaliczyć nie mogę, bo to by oznaczało, że nawet obywatel Pierwszy Sekretarz ma do prawdy zamknięte dojście, a ja jestem lojalnym obywatelem i podobnej tragedii nawet nie chcę dopuścić do myśli, bo bym w ten sposób niewiarę w ustrój okazał, a gdybym takie zajmował stanowisko, to bym u najwyższych czynników nie szukał sprawiedliwości, chyba doktora Gwarę przekonałem do mojej słuszności, bo nie ciągnął dalej tematu, a zaczął mówić, że go męczy chodzenie i z tego powstała dyskusja, którą Różowa przez swoją interwencję przerwała, piszę teraz w pokoju, zeszyt trzymam na krawędzi łóżka i nawet specjalnie drzwi nie zamknąłem, żeby podejrzeń nie wzbudzać, tak każdy może pomyśleć, że list piszę do domu, zmęczyłem się, znów mam duży niepokój i ręka mi ucieka, zapomniałem nadmienić, co mnie od razu uderzyło, że Różowa patrzy na mężczyzn w taki sposób, jakby ich lizała, słyszałem, że bardzo wiele t a k i c h pracuje dla Kontrwywiadu i nie tylko, żeby cudzoziemców inwigilować, tubylców też.

W niedzielny wieczór Konieczny jeszcze raz rozmawiał z doktorem Gwarą, po kolacji, przed obchodem lekarskim, długo spacerowali we dwóch po korytarzu, przeważnie mówił Konieczny, a socjolog uważnie słuchał, czasem tylko krótkimi pytaniami umiejętnie regulując nie zawsze dość bystry nurt wyznań swego towarzysza, a ponieważ był dużo wyższy od Koniecznego, pochylał się

cokolwiek ku niemu i gdy tak kroczył u boku przysadzistego i już nieco brzuchatego mężczyzny, wyraźnie przystosowując swoje wydłużone kroki do jego drobnego chodu, całą swoją sportową sylwetką skupiony na współrozmówcy — sprawiał wrażenie młodziutkiego studenta, pilnie odnotowującego w pamięci co ważniejsze kwestie znakomitego profesora, nawet gładkie i opalone czoło marszczył niekiedy całkiem po chłopięcemu, wczorajszy niepokój i pewne sztuczne podekscytowanie, zauważone przez Koniecznego, wyraźnie z niego spłynęły i w pewnych momentach w jego jasnych oczach sportowca, lub alpinisty pojawiał się błysk szczególnego zaciekawienia, a nawet oddania i czułości.

Konieczny nie odnotował w zeszycie tej rozmowy dlatego prawdopodobnie, że wypadek, jaki miał miejsce w nocy, a raczej nad ranem, zwrócił jego uwagę ku tej przede wszystkim sprawie.

W poniedziałek zanotował:

Straszny krzyk zbudził mnie w nocy, wszyscy się obudziliśmy, bo śpimy przy otwartym górnym oknie, jeszcze było ciemno, ale jak usiadłem na łóżku i odsunąłem firankę, zobaczyłem, że na dworze świta, od razu się domyśliśmy, że się musiało coś stać na oddziale kobiecym, bo stamtąd szedł ten krzyk okropny, pamiętam, jak służyłem w MO, raz na jesieni roku 1946, na komisariacie krzyczała jedna młoda dziewczyna, łączniczka bandy enezetowskiej, ale kapral Kuna wepchnął jej w usta szmatę od czyszczenia butów, więc przestała, ale ten krzyk, co nas rozbudził, był jeszcze głośniejszy, strasznie się od niego człowiekowi robiło, zobaczyłem na zegarku, że było dwanaście po piątej, ale nawet jak się wszystko uspokoiło, nikt nie zasnął, dopiero od salowej, kiedy przyszła zmywać posadzkę, dowiedzieliśmy się, że ta w różowym szlafroku, Monika, wykradła się z pokoju, szy-

bę na korytarzu wybiła i chciała oknem wyskoczyć, ale nie zdążyła, przytrzymano ją w porę, podobno okropnie szkłem się pokaleczyła, zaraz przenieśli ją na chirurgię i jeszcze nie wiadomo, czy tutaj wróci, mnie to zdarzenie bardzo przejęło i wobec takiego nieszczęścia zacząłem myśleć, że może się pomyliłem i niesłusznie miałem dziewczynę w podejrzeniu, a może do desperackiego kroku wyrzuty sumienia ją pchnęły, że do brudnej roboty dała się zwerbować, mogła nawet w dobrej wierze działać, potem dopiero zrozumiała, jak sprawa stoi, wszystko jest możliwe, pełnej prawdy nigdy się pewnie nie dowiem, chyba, że ona, jak przyjdzie do siebie, postara się o nawiązanie kontaktu, aby powiedzieć, jak było, ale ja jej złego słowa nie powiem, bo naprawdę już nie czuję do niej żadnej złej myśli i Bóg też jej z pewnością przebaczy, kiedy umrze, a na Sądzie Ostatecznym także.

Wtorek

Rano przeniesiono doktora Gwarę do naszego pokoju, na łóżko po Francuzie, bardzo sympatyczny i dobrze wychowany człowiek, o sobie mówi mało i ja nie rozpytuję, ale przypuszczam, że jest tutaj na kuracji odwykowej, ile wartościowych jednostek niszczy alkohol, nawet gubi, alkohol to groźny wróg człowieka i ludzkości, grałiśmy w bridża w piątkę, wygrałem jednego robra z siedmiu, drugiego przegrałem aż z dwunastu, bo miałem niepokój i karta mi nie szła, więcej nie grałem, niepokój miałem coraz większy, może za dużo myślę i dlatego, ale sobie powiedziałem, że trudno, muszę ten wysiłek ponieść, aby niczego nie zaniedbać i żeby moje pismo osiągnęło należyty skutek i nie poszło na marne, z tego względu nie mogę się opędzić od różnych myśli o tym przeklętym świecie i piekle, jakie za życia człowiek przechodzi, gdyby nie dzieci, to bym w rezygnację popadł, taki jestem umęczony i wciąż mi się wydaje, że się za moimi

plecami dzieje coś takiego, o czym ja nie wiem, stąd moja nerwowość i niesłuszne powziąłem podejrzenie względem Rafała, a potem do tej biednej dziewczyny, choć nie przysięgłbym, że ona była zupełnie bez winy, coś tam być musiało, że się na życie chciała targnąć, mnie też kiedyś myśli samobójcze chodziły po głowie, kiedy otoczony byłem samymi agentami, oni, jak wyżej zapodałem, organizowali się w dwójki albo w trójki i każdy mój krok śledzili, nawet jak koleją względnie autobusem dojeżdżałem do pracy w Lidzbarku, nie było jednego dnia, żeby takich dwóch albo i trzech ze mną nie jechało, wcale się nawet nie ukrywali, bo takie musieli mieć od swoich mododawców dyrektywy, jawnie powtarzali każdy mój ruch, kaszlnąć nie mogłem, żeby któryś z moich Aniołów Stróżów też nie zakasłał, a jak wychodziłem na korytarz, zaraz z innych przedziałów agenci wychodzili, potem w Lidzbarku z dworca aż pod sam PSS odprowadzali, jedni drugim mnie podrzucali, a na miejscu pracy też byłem ogromną ilością etatowych Judaszów otoczony, zaciskałem zęby i swoje starałem się robić, ale jak człowiek może w takich warunkach wydajnie pracować?, zwłaszcza, że w domu też spokoju nie miałem, ani wytchnienia i bezpieczeństwa, bo moi wrogowie nie poprzestali na przekupieniu szwagra, ob. Wiktora Tomaszewskiego, nie wiem kiedy i jakimi sposobami, ale do mojej żony też dotarli i tak ją względem mnie nastawili, że się bardzo i na gorsze odmieniła, znajomości różne z obcymi mężczyznami zaczęła w tajemnicy przede mną zawierać, o dom i dzieci dbać przestała, tak się to za moją pracę i oddanie odwdzięczyła, dobro walało się jej pod nogami, a ono je deptała i ja często od zmysłów odchodziłem, bo nie wiedziałem, co myśleć mam o jej wierności małżeńskiej, byłem sam, jak ten kamień przy drodze, przyjaciele odeszli, rodzina zdradziła, samymi wrogami byłem otoczony i za co mnie to wszystko spotkało?, dnia jednego już skończyć ze sobą chciałem, utopić się, albo pod pociąg rzucić, żeby męczarniom kres położyć, ale jakoś

mnie Pan Bóg od tego kroku powstrzymał, czułem jednak, że jak dalej będzie, zwariować mogę, więc tego samego dnia, który miał być moim ostatnim, nikomu w domu, nawet żonie nic nie mówiąc, na dworzec poszedłem, kilka godzin, nieustannie przez agentów śledzony, przeczekałem do pociągu poznańskiego, a kiedy w T. wysiadałem, była noc, więc nie wiem, czy nasłani szpiedzy zgubili mój ślad, czy nie, wcale o tym wtedy nie myślałem tak byłem okropnie zmęczony, wprost z dworca zjechałem do mojej siostry, ob. Barbary Koniecznej, u niej ratunku szukałem i ona, choć się mało znaliśmy i po wojnie nie więcej niż parę razy ześmy się widzieli, jak siostra mnie przyjęła i widząc stan, w jakim się znajduję, serdecznie się zaopiekowała, ale ja nic mówić ani wyjaśniać nie mogłem, bo gdy do zwierzeń miało dojść, ja zaraz płakać zaczynałem i myślałem, że się od łez uduszę, wtedy siostra przerażona, jaki jestem i co ze mną zrobiono, wystarała się przez znajomości, jakie ma na Kurii Biskupiej, gdzie pracuje, żeby mnie ob. docent dr Stefan Plebański na swoją Klinikę przyjął, co się też stało ku wielkiej mojej uldze, chociaż przez pierwsze tygodnie wroga ręka i tam mnie prześladowała, różnych osobników spośród pacjentów oraz personelu tak zręcznie dobierając, że wciąż byłem inwigilowany a każda moja czynność małpowana, dopiero później, widząc, że mój stan się polepsza, odstąpili ode mnie, na potem odkładając dalsze knowania i machinacje, w zadawaniu tortur znana to metoda, aby ofiary przedwcześnie nie wykończyć, więc się męki przerywa, żeby więzień mógł potem z nowym zapasem sił zakosztować wymyślnych katuszy, mnie na Gestapo w Suwałkach bili okropnie, zwłaszcza po nogach, takie miałem opuchnięte, że chodzić nie mogłem, a kilka razy przytomność traciłem, oblewali mnie wodą, cucili i jakiś czas spokój dawali, ale jak się trochę wzmocniłem, na powrót swoje robili, a miałem siedemnaście lat zaledwie, myślałem że koniec ze mną i życia jeszcze wcale nie zaznawszy, skonać będę musiał z rąk faszystowskich

oprawców, nigdy ja silny nie byłem, za to bardzo wrażliwy, bo jako szóste dziecko nic już z łona matki wziąć nie mogłem, dlatego jestem niewysokiego wzrostu i słaby nerwowo, jak mnie po przekupieniu jednego gestapowca wypuszczono z więzienia, ojciec, choć zawsze był mocnego charakteru, ręce załamał i zapłakał, co z jego rodzzonego syna zostało, cień człowieka, jakbym z grobu wyszedł, bo też przez trzy miesiące śledztwa straszne ja rzeczy przeszedłem i jeszcze teraz śni mi się czasem, że jestem na mękach, a jestem wtedy nagi i trzęsę się z zimna i okropnego strachu, a chociaż oczy mam zamknięte, czuję, że paru albo trzech gestapowców do mnie podchodzi, ich ciężkie oddechy słyszę, już są przy mnie i wtedy jeden, z tyłu stojący, chwyta mnie ręką za gardło, głowę do tyłu odchyła i drugą ręką, ciężką i spotniałą, usta zatyka żebym nie krzyczał, a wtedy dwaj inni zaczynają mnie kopać w krzyże i przyrodzenie, i po udach bić żelaznymi prętami, okropny to sen, budzę się cały spotniały i drżący, na łóżku siadam, ale żona obok śpi spokojnie, zdrowy i mocny ma sen, dzieci także śpią, więc w ciemnym pokoju jestem sam i całe moje życie staje mi przed oczami, a potem to największe nieszczęście, jakie mnie spotkało i nie mam nadziei, że radość życia będę miał przywróconą, o! jak inaczej u zarania Niepodległości życie swoje przedstawiałem, zawsze ze wszystkich sił pracy się poświęcałem, a wielu ludzi, nawet żona rodzona, krzywym okiem na to patrzyli, za złe mnie mieli, że nic poza pracą nie widzę, że jestem służbista wyzywali, a ja przecież wcale osobistej kariery nie miałem na widoku, ale dobro publiczne i z tego względu wszelkie dyrektywy z góry idące skrupulatnie uważałem i realizowałem w zakresie moich obowiązków, poprawnie bowiem rozumowałem, że się nie da nowego ustroju zbudować bez dyscypliny oraz nieprzejednanej walki nowego ze starym, ja zawsze byłem za ustrojem i Władzą Ludową, jestem członkiem Związków Zawodowych od kiedy pracuję, to znaczy od 15-tu lat, ze względu na stan zdrowia skreślono mnie z ewi-

dencji wojskowej, ale z uwagi na przeszłość bojową w Partyzantce jestem członkiem ZBOWiD'u, także członkiem Stronnictwa Ludowego, zawsze cechowała mnie obywatelska świadomość, a że teraz, odkąd pod niesłuszne podejrzenia podpadłem, od wielkiego życia społecznego, politycznego oraz gospodarczego jestem odsunięty, boli mnie to bardzo, jako Polaka i patriotę ustroju, o który walczyłem, dlatego też gorąco Cię proszę, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, rozpatrz moją Apelację, jak sprawiedliwy i kochający ojciec, a Pan Bóg Ci tego nie zapomni i na pewno do wszystkich zasług oraz dobrodziejstw, jakie Narodowi Polskiemu wyświadczyłeś, i ten uczynek miłosierdzia i sprawiedliwości Bóg Ci zaliczy, chociaż wyższego wykształcenia nie posiadam, ale Ty, jako dobry gospodarz, każdy najdrobniejszy kłós masz na uwadze, żeby żadne ziarno na marne nie poszło, jesteśmy bowiem, synowie i córki Polski Ludowej, jak ten ogromny, szumiący łąn, a Ty słońcem, które ogrzewa i proces dojrzewania przyspiesza, żeby gdy nastanie pora żniw, ściąć nas dla pożytku ogólnego i niech się tak stanie, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

W nocy

Usnąć nie mogłem, bo niepokój mnie męczył i różne myśli, więc na korytarz wyszedłem, pustka i cisza, tylko boczne światło się świeci, Wacek Sobieski ma dzisiejszej nocy dyżur na męskim oddziale, to bardzo porządny i sympatyczny chłopak, jestem z nim w dobrych stosunkach, podoba mi się, że jak się nie dostał na medycynę, na Klinice zaczął pracę w charakterze zwykłego salowego i na przyszły rok znowu będzie zdawać, zda na pewno, bo ma charakter i wie, czego chce, do mnie ma dobre podejście, dlatego żadnych nie robił trudności, kiedy mu powiedziałem, że spać nie mogę i chcę trochę popracować, spytał tylko, czy nie poprosić przez siostrę lekarza

dyżurnego, żeby mi dał jaki lek na sen, ale ja powiedziałem, że nie trzeba, wypaliliśmy więc razem papierosa, powiedział, jakie miał szczęście, że nie jego był dyżur, kiedy ten Doktor popełnił samobójstwo, straciłby posadę, jak Wirtek, którego z miejsca zwolniono, nie wiem, czy słusznie, bo co on zawinił? nie było instrukcji, żeby zaglądać do łazienki, jak pacjent kąpiel bierze, teraz dopiero regulamin zaostrzono, obie łazienki są zamknięte i otwiera się je dopiero na każde życzenie oddzielnie i w godzinach wyznaczonych, golić się można tylko między 10-tą i 11-tą, a na noc tylko jedna z trzech ubikacji i to kobieca z zepsutym rezerwuarem jest otwarta, coś chyba w tym punkcie kierownictwo przegięło, bo druga męska toaleta jest zaraz obok kobiecej i obie mają okna na przejściowy między oddziałami korytarzyk, więc widać do połowy, co kto w środku robi, jedna salowa może obie ubikacje upilnować za jednym zachodem, myślę, że taką decyzję podjęto bezkrytycznie i to jest asekurancstwo, a nie troska o człowieka, nie wydaje mi się, żeby Docent był o tym zarządzeniu poinformowany, wczoraj i dzisiaj po telewizji duża kolejka utworzyła się przed kobiecą toaletą, ale ja przede wszystkim chciałem zapisać fakt rozmowy dzisiaj wieczór z doktorem Gwarą, była to bardzo dziwna rozmowa i wciąż nie rozumiem, co miał na myśli, kiedy powiedział, chyba dokładnie tymi słowami: pan wie, panie Konieczny, że ja panu właściwie w pewnym sensie zazdroścę, nie rozumiem, powiedziałem, bo istotnie nie wiedziałem, co miał na myśli, a on wtedy powiedział coś w tym sensie, że mi zazdrości prawdziwego i potężnego wroga, bo najgorzej się poddać i robić nie to, co się myśli, ale czego od człowieka wymagają, bo potem tak to wchodzi w nawyk, że kłamstwo staje się prawdziwą naturą, a prawda za kulę u nogi się liczy, ale jej całkiem zlikwidować nie można i kiedy daje o sobie znać, człowiek nie wie, co zrobić, do prawdy przyznać się nie ma odwagi, a kłamstwo zaczyna uwierać i kłuć, człowiek różnych oszołomień szuka, ale nic nie

pomaga, jeszcze jest gorzej i musi być gorzej, ja wiem, powiedział, panu też nie lekko, męczy się pan po swoim, ale pan się przynajmniej opiera i o swoje prawa walczy, zazdroścę panu, jeszcze raz powtórzył i ja wtedy pomyślałem, że albo ja nic nie rozumiem, albo on nie w porządku się względem mnie czuje i dlatego tak niezrozumiale aluzjami mówi, więc powiedziałem: najgorszemu wrogowi, panie doktorze, nie życzyłbym ja takiego losu, jak mój, a on się zatrzymał, bo na spacerze byliśmy, choć pogoda była mało sprzyjająca, zimno i wiatr, spojrzał na mnie dziwnie, a tak młodo wyglądał, że trzydziestu lat bym mu nie dał, i powiedział: słowo daję, pan jest cholernie porządnym człowiekiem, panie Konieczny, chciałbym mieć takich, jak pan kolegów i profesorów, nie mówiąc o tych wyżej, przypomniałem sobie, co mówił o więzieniu i spytałem: też się panu dzieje krzywda, panie doktorze?, o nie!, roześmiał się, ja siebie sam krzywdzę, to już nic nie rozumiałem i zapytałem: jak to sam się pan krzywdzi?, wtedy machnął ręką i powiedział: jest na to wiele sposobów, bardzo wiele, na przykład?, spytałem i ręce mi zaczęły drżeć, bo niepokój miałem coraz większy, nawet nie pamiętam, co powiedziałem, straszna bowiem myśl przyszła mi do głowy, przepraszam, powiedziałem, ale mam duży niepokój, pójde się położyć, źle się pan czuje?, spytał z udaną troskliwością, nie, odpowiedziałem, czuję się dobrze, tylko niepokój mam duży i poszedłem się położyć i sam nie wiem, kiedy usnąłem i tak mocno, że dopiero na kolację mnie obudzono, nie miałem apetytu, ale chyba się mylę, niemożliwe, żeby taki człowiek, niewłaściwie go musiałem zrozumieć, ale kiedy teraz wychodziłem z pokoju na korytarz, nie jestem pewien, czy spał, oczy miał...

Sroda

W nocy przerwać pracę musiałem, bo wyszedł z pokoju i do toalety się udał, ale wcale na przebudzonego

ze snu nie wyglądał, do mnie nie podszedł, tylko się z daleka uśmiechnął, ale dziwnie jakoś. Głowa mnie od rana boli i duży mam niepokój.

Czwartek

Głowa mnie boli i żadnej radości życia nie mam, staram się nie myśleć i być, jak głaz, ale wszystko się we mnie rusza.

Szósty dzisiaj dzień od wysłania mego pisma.

Piątek

Wciąż bardzo duży mam niepokój i pracować nie mogę, bo mi ręka ucieka.

Sobota

Z domu list przyszedł, pisze Halinka, że wszystko w porządku, Michaś tylko na anginę chorował, ale już jest na rekonwalescencji, nawet nie zapytała, kiedy do domu wrócę, pewnie jej dobrze ze swobodą, jak mnie nie ma.

Poniedziałek

Docent powiedział na obchodzie, że najdalej za tydzień mogę wracać do domu, ja wtedy powiedziałem, że wciąż mam duży niepokój i suchość w ustach, przejdzie, powiedział Docent, jest pan zdrow i ja nie chcę tu pana więcej na oddziale widzieć, bardzo mnie ta decyzja oszłomiła, ale wobec wszystkich lekarzy nie mogłem otwarcie mówić, że do nadejścia odpowiedzi Obywatela Pierw-

szego Sekretarza miejsce moje tutaj jest, wszyscy mi wieszali, że idę na zwolnienie, pan szczęśliwy, powiedział Rafał, bo jego, choć się spodziewał szybkiego zwolnienia, zatrzymali z powodu niedobrego stanu migdałków, Pułkownik też gratulował, tylko doktor Gwara słowem jednym się nie odezwał, dopiero później na spacerze, kiedy ze względu na przygnębienie byłem sam, podszedł i tak powiedział: głowa do góry, panie Konieczny, czego się pan martwi?, przecież jak list przyjdzie pod pana nieobecność, Plebański zaraz go panu prześle na adres domowy, prześle albo nie prześle, powiedziałem, bo rzeczywiście przybity byłem bardzo, co, nie ufa pan Plebańskiemu?, zdziwił się tamten, przykro mi się zrobiło, bo faktycznie niezręcznie i nietaktycznie wyszło, nie to powiedziałem, co na sercu miałem, owszem, powiedziałem, ja panu Docentowi zawsze ufałem, i ufam, ale poczcie nie za bardzo, pismo będzie w kopercie z urzędowym nadrukiem, zdarzają się ludzie ciekawi cudzych interesów, mało listów ginie?, tu co innego, adres też urzędowy charakter posiada, nie to, co prywatna jednostka, można przesłać poleconym, powiedział doktor Gwara owszem, można, powiedziałem, ale jaką ja mam gwarancję, że polecony do moich własnych rąk dojdzie, starczy, wyjdę na zakupy i szwagier za mnie odbierze, specjalną premię za takie pismo, Judasz, otrzyma, nie myślałem, że mnie docent Plebański w tak trudnej i drastycznej sytuacji postawi, bo pomijając meritum sprawy, ja wcale zdrowy nie jestem i na wyjście do domu się nie nadaję, niepokój mam duży, głowa mnie od natłoku myśli boli, daleko mi jeszcze do zdrowia, nerwy mam, jak pajęczyna, a oni tylko czekają, żebym w takim deniżowym stanie do domu wrócił, zaraz się rzuca, nawet pewności nie mam, czy i tutaj przez podstawionych ludzi mnie nie śledzą, umyślnie tak powiedziałem, żeby go sprowokować, ale on jakby nie dosłyszał, czy udał, że moje słowa do niego nie dotarły, szedł obok mnie w milczeniu i zamyślony dziwnie, aż nagle się ożywił, wie

pan co, panie Konieczny?, zawołał, wpadłem zdaje się na doskonały pomysł, względem czego?, spytałem ostrożnie, a on, co następuje: jestem bardzo dobrze z Plebańskim, więc kiedy nadejdzie do pana to pismo z Komitetu Centralnego, Plebański na pewno nie będzie robić trudności, da mi zwolnienie na dzień, albo dwa, a ja słowem honoru wobec pana się zobowiązuję, że osobiście list zawiozę i do rąk własnych panu oddam, co pan na to?, straszny smutek mnie dobił, bo już wiedziałem z kim mam do czynienia, zrezygnowany całkiem ze wszystkiego się poczułem, wielu agentów i szpiegów na mnie przez dwanaście lat nasyłano, nigdy tak wykształconego, miał mnie w sprzedajnych dłoniach i mocno trzymał, przyjaciela życzliwego sprytnie udając, a ja wiedziałem, że nie mogę zagrać w otwarte karty bez wystawienia się na straszne niebezpieczeństwo, nawet śmierć, ukryć musiałem, co myślę i czuję, i żal mi było okropnie, że taki sympatyczny człowiek zdradę pod przyjacielskim obliczem hoduje i dla swoich korzyści, pewnie bardzo znacznych, gotów mnie wydać w ręce moich wrogów, a swoich mocodawców, nie wiem, co się w jego sumieniu działo, kiedy się zgodził przekreślić wszystkie prawa ludzkie i boskie, bo nie wierzę, aby zdrajcę i agenta obcego wywiadu we mnie widział, ale ja nie będę jego sędzią, więc powiedziałem ostrożnie, że pomyślę i dziękuję mu za pomoc, ale nie śmiem go takim kłopotem obarczać, jakież to kłopot?, przerwał mi chytrze, cała przyjemność będzie po mojej stronie, odwiedzę pana przy okazji i może się nawet uda przyśpieszyć sprawę pańskiego mieszkania zastępczego, mam trochę stosunków, spróbujemy, mówię panu, panie Konieczny, wszystko będzie dobrze, zobaczy pan?, i tak szczerze mówił, że mi się przez moment wydało, że się mylę i porządnego człowieka mam na podejrzeniu, w wielkiej rozterce się znalazłem, bo fałszywe oskarżenie ciężkim grzechem, nie jestem ja z tych, którzy za zło złem odpłacają, chociaż źle na tym wychodzę, taki dzisiaj świat że sąsiedztwo ludzkie marnieje

i człowiek człowiekowi wilkiem patrzy, czytałem kilka razy w *Trybunie Ludu*, że u nas jest teraz mała stabilizacja, faktycznie, są u nas tacy, których stać na lodówkę, telewizor, elektryczną pralkę, nawet auto i wycieczkę orbisową do Bułgarii, czy na Węgry, albo do Jugosławii i po trzy, nawet cztery garnitury w szafie u nich wiszą, kolacje też jadają w restauracjach kategorii „S”, nie mówię o tych, co kradną, ale uczciwie w swoim zawodzie pracują, taki na przykład Rysiek Kuna, znałem go od roku 1945, zawsze był mężczyzna jak tur, zdrowy i mocny, mógł na picciu i różnych zabawach całą noc stracić, rano przychodził do pracy wypoczęty, na pełnych siłach, piętnaście lat tak ciągnął, dobrze zarabiał, więc żadnej przyjemności sobie nie odmawiał, szeroko żył, aż tu w kwietniu roku 1964, niedługo kiedy wróciłem z Kliniki, w jedną godzinę na tamten świat się przeniósł, zawału dostał i nie było ratunku, a czterdziestkę, jak ja, ledwie przekroczył, nigdy, jak go znałem, na serce się nie skarżył, na nic nie chorował, zahartowany był na życie, a przecie psuł się w środku i śmierć w nim rosła, ja nie wiem, po co się człowiek tak trudzi i męczy, może rację miał Rysiek, kiedy, pamiętam, jeszcze w MO mówił po paru kieliszkach: z życiem, stary, jak z kobietą, za mordę je trzeba trzymać i dobrze p.....lić, inaczej na swoje nie wyjdiesz, zawsze u ludzi będziesz na minus, słusznie może mówił, tylko ja tak nie umiem, inną, widać, mam konstytucję.

Wtorek

Dziesiąty dzisiaj dzień od wysłania pisma, niepokój mam duży, Docent był zajęty, więc się nie mogłem z nim widzieć.

Środa

Zameldowałem się u Docenta, przyjął mnie, ale ja-

koś niechętnie na mnie patrzył, od razu powiedział, że mało ma czasu, więc, żebym się streszczał, niepokój miałem bardzo duży, ale powiedziałem spokojnie: ja przepraszam, panie Docencie, ale chciałem się ustosunkować do tego co mi pan Docent w poniedziałek zakomunikował, co pan chce zrobić?, zaraz mi przerwał, ustosunkować się, odpowiedziałem, bo ja myślę..., znów mi nie dał dokończyć, powoli, panie Konieczny, powiedział, od myślenia, kto i kiedy ma być z Kliniki zwolniony, ja tutaj jestem, to po pierwsze, a po drugie, dzisiaj mamy środę, a to znaczy, tu spojrzął na kalendarz, że w przyszłą środę wsiądzie pan w pociąg i pojedzie do domu, powiedziałem już, że jest pan zdrowy i nie chcę tu pana więcej wiedzieć, kiedy o to się rozchodzi, panie Docencie, powiedziałem, że ja nie jestem zdrowy, co?, krzyknął Docent i aż poczerwieniał, nie jest pan zdrowy?, w takim razie może pan ma życzenie, żebym pana do Tworek odesłał na dalsze leczenie, bo my tu panu w niczym na razie pomóc nie możemy, proszę bardzo, może pan choćby jutro jechać do Pruszkowa, oczywiście z konwojentem, mnie się ciemno przed oczami zrobiło i w sobie poczułem okropną pustkę, pan chyba nie chce mojej zguby, panie Docencie, powiedziałem, nie chce mnie pan żywcem pogrzebać, ja ostatnio naprawdę bardzo źle z nerwami stoję, a do tego pismo, które pan wie, panie Konieczny, Docent na to, porozmawiamy rozsądnie, zgoda?, ja wiem dobrze, co pana niepokoi, ja pana rozumiem, niech mi pan nie przerywa z łaski swojej, rozumiem pana niepokój tak dalece, że zgadzam się z propozycją doktora Gwary, choć musi pan chyba zdawać sobie sprawę, że trochę to odbiega od obyczajów przyjętych na klinice, jeśli pacjent zamiast się leczyć, zabawia się w listonosza, no, ale tym razem, właśnie dlatego, że pana rozumiem, przymknę oczy na regulamin, zrobię wyjątek i jeśli list z KC przyjdzie pod pana nieobecność, doktor Gwara osobiście go panu zawiezie, myślę, że to wszystko, co mogę dla pana uczynić, a w każdym razie niech pan

nie wymaga ode mnie, żebym panu pobłazał i spokojnie wysłuchiwał pańskich szantaży na temat zdrowia, PAN JEST ZDROWY i jak powiedziałem, w najbliższą środę opuści pan ten lokal, mam nadzieję, że mnie pan dobrze zrozumiał?, tak jest, panie Docencie, powiedziałem, widzę, że wroga ręka zaciska łańcuch na mojej szyi, że co?, Docent spojrział na mnie bokiem, pan raczył się wyrazić?, wyraziłem się, jak jest, panie Docencie, powiedziałem, to znaczy?, spytał, może zechce się pan jasno wysławiać, ja się całkiem jasno wysławiam, panie Docencie, powiedziałem, tylko nie o wszystkim, co wiem i myślę, mogę mówić, panie Konieczny, na to Docent, ja panu dobrze radzę, już nie jak lekarz pacjentowi, ale przyjacielowi przyjaciel, jak pan koniecznie chce myśleć, niech pan sobie myśli, ale w taki sposób, żeby samemu sobie nie szkodzić, my, lekarze, nie jesteśmy, niestety, wszechmocni, przywróciliśmy panu zachwianą równowagę psychiczną, koniec, kropka, więcej dla pana nic zrobić nie możemy, pan sam musi pilnować swojej równowagi, a przede wszystkim pożegnać się raz na zawsze z urojeniami na temat wrogiej ręki itepe itepe, niech pan idzie pomyśleć o tym spokojnie i rozsądnie, tak jest, panie Docencie, powiedziałem, ja wiem, że mi pan dobrze życzy, mam nadzieję, że pan wie, odparł na to, ufam pańskiemu rozsądkowi, panie Konieczny, więc wyszedłem posłusznie, ale zupełnie zrezygnowany, bo mi to życie zbrzydło i wołałem, żeby jak dawniej dwójki, albo trójki podrzędnych szpicli mnie inwigilowały i małpowały anizeli, jak teraz, jeden ale potężny agent stryżek przygotowywał jedną ręką, drugą obłudnie przyjacielskie usługi podsuwając, ja na taką okoliczność bezbronny jestem i sam jeden, bo nie w mojej kompetencji Docenta przekonać o wiarołomności jego przyjaciela, zawsze prędzej człowiekowi na tym samym szczeblu wykształcenia, co on, da wiarę anizeli mnie, który tylko sześć klas Szkoły Powszecznej ma ukończone, choć potem, jak tylko była odpowiednia okazja, korzystałem z dostępnego mi naucza-

nia i wiele wysiłków i ofiar dałem ze siebie po tej linii, ja się nawet wcale Docentowi nie dziwię i za złe mu nie mam, bo rozumiem, że z tamtym łatwiej mu wspólny język znaleźć, ja tylko bardzo boleję, że taki mądry i szlachetny człowiek podpaść musiał drugiemu mądrymu, ale też przewrotnemu, nie popłaca widać szlachetność, słabą ma głowę i nogi, położyłem się, choć mi niepokój bardzo dokuczał, mojego Judasza nie było, poszedł na spacer, więc myślałem, jak strasznie trudno na tym świecie odpowiedzialną władzę sprawować, bo ten co uczciwy i czysty jak łąza, bezbronny jest w obliczu podstępów i ciemnych machinacji i zasadzek, rozumiem ja świętych, co od ludzi i świata uciekali, aby w zamkniętej celi, albo na pustyni żywota dokonać, tylko, co wtedy, pytam, z takimi, jak ja uciśnionymi niewinnie i na margines życia zaszczutymi, co, pytam, lud i naród mają czynić, jeśli sprawiedliwych na górze brak, tylko szatani tam władzę zagarnęli i powiadają do narodu: my z was Aniołów zrobimy, ale tak czynią i lud gniotą, żeby ciasto diabelskie wyszło, gdzie pomoc i ratunek?, darmo wołać, nikt nie usłyszy, a jak nawet usłyszy, zrozumie nie jak trzeba...

Czwartek

Boże, Boże wszechmogący, czemuś mnie opuścił?

Piątek

Nie chcę o t y m myśleć, ale nie myśleć nie mogę.

Sobota

Czternasty dzień od wysłania pisma mojego na ręce Obywatela Pierwszego Sekretarza Komitetu Centralnego

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Warszawie, modłę się, aby odpowiedź przyszła na czas, jedyny ratunek.

Niedziela

Wobec bliskiego terminu, kiedy Klinikę niniejszą mam na zlecenie Ordynatora, ob. docenta dr. Stefana Plebańskiego, opuścić, czuję się w obowiązku powiadomić Cię, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, że w sobotę o godzinie siedemnastej agent, działający z ramienia Kontrwywiadu dla pilnowania mnie oraz pokrzyżowania moich planów, ujawnił się, co świadczy, że jego przełożeni czują się dostatecznie umocnieni i silni, aby do jawnej przejść ofensywy. Wymienionego dnia i godziny docent t-skiego Uniwersytetu, doktor Maciej Gwara, w mojej obecności, siedząc na łóżku, wyjął z torby teczkę z papierami, papiery pobieżnie przejrzał, po czym na moich oczach bezwstydnie drzeć je począł, podarte na bok odkładał i w czasie tej czynności kilkakrotnie dziwnie na mnie spoglądał, a ja siedziałem obok przy swoim łóżku, jak sparaliżowany pod jadowitym wzrokiem węża, bo, przysięgam, jakkolwiek dużo ze swego życia doktorowi Gwarze opowiadałem, przyjaciela w nim widząc i uczciwą jednostkę, o zniszczeniu przeze mnie w roku 1955 planów inwestycyjnych Zakładu Wytwórczości Płyt Trzcinowych oraz Domków Jednorodzinnych w Wilkasach nigdy nie nadmieniałem. Ja, jak on darł te papiery, mnie w ten sposób dając do zrozumienia, że on wie wszystko na każdą okoliczność mojej działalności, o nic nie pytałem, bo byłem, jak nadmieniłem, zupełnie z wrażenia odrętwiały, ale on się pierwszy odezwał i tymi słowami powiedział: pewnie się pan nawet i nie domyśla, panie Konieczny, jaki ma pan współudział w tym, że się zdecydowałem podrzeć i zniszczyć tę oto niedokończoną rozprawę, nie rozumiem, powiedziałem cicho, bo gardło też miałem

sztynne i okropnie suche, a on na to dalej gorliwie papie-
ry rozdierając moimi identycznymi ruchami powiedział:
pan mi dał przykład, że nie kłamać warto, choćby się
miał narazić człowiek na wiele przykrości, dużo panu
zawdzięczam, panie Konieczny, a że ja nic nie odrzekłem,
tylko ciężko oddychałem, ten Judasz przekłety obłudnie
spytał: źle się pan czuje, panie Konieczny?, jakoś zdoła-
łem odpowiedzieć: dobrze się czuję, tylko niepokój mam
duży, przepraszam, panie Docencie, ale trochę się prze-
jdę, może mi pomoże, i wyszedłem na korytarz, a teraz
zapodaję ten fakt do Twojej wiadomości, Obywatelu
Pierwszy Sekretarzu, abys wiedział, że wymieniony ob-
dokter Maciej Gwara, socjolog z zawodu, jest ważnym
agentem Kontrwywiadu i w związku z antypartyjną dzia-
łalnością tegoż Urzędu, żebyś wyciągnął dla obrony pra-
worządności właściwe konsekwencje.

Na wypadek nagłej śmierci mojej, doktora Macieja
Gwarę uważam za sprawcę i winnego.

Poniedziałek

Żadnych nowych znaków nie dał, ale zachowuję
wzmogoną czujność, chociaż wiem, że nie ma dla mnie
ratunku, Bóg mnie opuścił i wszyscy.

Wtorek

Wielki dzień nastał, wielka chwila, z ciemnej prze-
paści na promienny świat wychodzę! Dopiero co listo-
nosz Gołębiowski, którego znam dobrze, bo dawniej i za
obecnym pobytam przekazy pieniężne u niego odbiera-
łem, zaczepił mnie na schodach, kiedy wychodziłem na
spacer i powiedział: ho, ho! panie Konieczny, ważną
pocztę mam dzisiaj dla pana, z bardzo, bardzo wysoka,
z samego nieba prawie, strasznie chyba zbłądłem, bo mi

się ciemno w głowie i na sercu zrobiło, musiał się na mój widok nastraszyć, bo złapał mnie za łokieć i powiedział: rany boskie, co pan taki blady?, nie blaguję, słowo honoru, że nie blaguję, jest list dla pana z Kace, ale ja już przyszedłem do siebie, pokaż pan, powiedziałem, niech na własne oczy zobaczą, trochę się zawahał, ale sięgnął do torby, dobrze, powiedział, dla pana w drodze wyjątku, pan wie przecie, panie Konieczny, że mnie nie wolno korespondencji pacjentom do rąk dawać, nie ja tu rządzę, wiem, wiem, powiedziałem, mnie starczy na razie, że zobaczą. Człowiek na strasznej pustyni zabłąkany i z pragnienia konający, gdy ujrzy cudowną oazę, albo rozbitek na niezmiernym oceanie, skoro pomoc śpieszącą dojrzy na horyzoncie tyle chyba czują, co ja, kiedy w rękach Gołębiowskiego ujrzałem kopertę z nadrukiem po lewej stronie: Komitet Centralny PZPR, nie wiedziałem, panie Konieczny, powiedział on, że ma pan stosunki tak wysoko, to sprawiedliwość, panie Gołębiowski, odpowiedziałem i skończyć nie mogłem tak mnie szczęście powaliło, ale teraz jestem spokojny i spokojnie czekam aż mnie Docent zawiaduje, żebym się ze Słowem Najwyższym, a także Ostatecznie Sprawiedliwym osobiście zapoznał.

Pochmurno dzisiaj, szarówka, deszcz zaczął padać, ale we mnie jasno, jak na majowe nabożeństwo, skończyła się dwunastoletnia gehenna moja, zdemaskowani wrogowie do kapitulacji zostali zmuszeni i każdemu od dzisiaj obywatelowi objawione będzie i nakazane, że niewinny jestem i czysty jak łąza, dzięki Ci Boże, wszechmogący, żeś moich modlitw wysłuchał, i Tobie, Obywatelu Pierwszy Sekretarzu, z głębi serca serdecznie dziękuję i obietnicę składam uroczystą, że ze wszystkich sił się będę starał, aby ofiarnie i wydajnie Polsce Ludowej oraz Ustrojowi służyć, co niech się stanie w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

Na tym się kończą zapiski Mariana Koniecznego.

Docent Plebański prowadził tego dnia dla młodych lekarzy psychiatrów dwugodzinne Studium Doskonalenia Kadr, więc dopiero po obiedzie, około godziny czternastej, wezwał Koniecznego.

— No, panie Konieczny! — zawołał zza biurka, gdy tamten wszedł — ma pan szczęście, doczekał się pan. Proszę, niech pan siada i spokojnie przeczyta, muszę powiedzieć, że się nie spodziewałem, że pańska sprawa tak szybko zostanie zbadana, gratuluję.

Ale Konieczny, gdy list dostał do rąk, nie mógł czytać, był dalekowidzem i zapomniał okularów, ręce mu się poza tym trzęsły.

— Przeczytać panu? — spytał zyczliwie Plebański.

— Jeśli pan łaskaw, panie docencie — powiedział Konieczny — okulary przez niedopatrzenie zostawiłem w pokoju.

I przymknął oczy, aby lepiej słyszeć, siedział wyprostowany, z twarzą obróconą ku docentowi. Zatem Plebański zaczął czytać wyraźnie i powoli. List był krótki. W zwięzłych, urzędowych słowach stwierdzał w sposób bardzo przejrzysty, iż zgodnie z informacjami, jakie zostały zebrane na osobiste zlecenie tow. Pierwszego Sekretarza, nigdy żadnych zarzutów, poddających w wątpliwość postawę obywatelską ob. Mariana Koniecznego, przeciw niemu nie skierowywano, wszystkie zatem zastrzeżenia oraz wątpliwości wymienione w liście obywatela z dnia takiego to, a takiego polegają wyłącznie na nieporozumieniu i z tego względu nie mogą się stać przedmiotem dalszych dochodzeń.

Konieczny słuchał bez ruchu, powieki miał wciąż zamknięte i nie podniósł ich, gdy Plebański skończył i list położył na biurku.

— No, panie Konieczny! — powiedział — ma pan tu na piśmie powiedziane wszystko, co pan chciał. Można powiedzieć, że po długiej wędrówce nareszcie zawiniliśmy do spokojnego portu.

Wtedy dopiero Konieczny podniósł powieki i spoj-

rzenie jego szklistych, jakby odbarwionych oczu spoczęło na docencie.

— Zwyciężył pan, panie docencie — powiedział cicho.

Na to Plebański:

— No, przede wszystkim jest to zwycięstwo pana, moje też w pewnym stopniu, ale głównie pana.

— Pogrzebał mnie pan — powiedział Konieczny. Plebański drgnął.

— Co pan powiedział?

— Pogrzebał mnie pan. Sprytnie pan to wszystko przeprowadził i pismo sfalszował.

Plebański gwałtownie poczerwieniał.

— Co? — krzyknął. — Co pan za głupstwa opowiada? Na co pan sobie pozwala? Znowu histeria i urojenia, już ja je panu wybiję z głowy. Co to ma znaczyć?

— Pan wszystko może — cicho powiedział Konieczny.

To wyznanie, nieomal pokorne, trochę Plebańskiego uspokoiło.

— Cieszę się, że pan tak myśli. Co też panu po głowie chodzi, co pana napadło, niechże się pan zastanowi, drogi panie Konieczny. Ma pan tu czarno na białym stwierdzone i to przez najbardziej miarodajną osobę w państwie, że jest pan czysty jak łąza, więc co pan wyprawia, z radości wszystko się panu pokręciło?

— Sprzedałeś mnie, Judaszu — rzekł na to Konieczny i ciężko podniósł się z krzesła i obu dłońmi wsparł o biurko. — Ty i ten drugi, obaj się zmówiliście, żeby mnie pognać. Ile pan dostał? Pięć, dziesięć tysięcy, a może więcej? Pan mi nie przerywa, teraz ja mam głos i ja wiem, co mówię, kiedy ten świstek mam za fałszerstwo, albo też Pierwszy Sekretarz nigdy do mojej apelacji nie miał wglądu, bo w jego najbliższe otoczenie wśliznęli się agenci Kontrwywiadu, a pan ich w porę ostrzegł. Ja wszystko rozumiem, pan sobie dawno zaplanował, bo tak panu

kazali, jeżeli się nie rozbroję. Haniebny pan mi koniec zgotował, a ja panu bezgranicznie, jak ojcu rodzonemu ufałem, niech się pan nie boi, nie przeklnę ja pana, ale w godzinie śmierci niech moja ciężka krzywda zamknie panu powieki.

Upłynęła dłuższa chwila zanim doktor Plebański się odezwał. A powiedział, co następuje:

— Niestety, pan miał rację, panie Konieczny, że na razie nie może pan wrócić do domu. Trudno, zostanie pan jeszcze u nas, nie umiem w tej chwili powiedzieć na jak długo. Bardzo mnie pan zawiódł, panie Konieczny. Może pan wrócić do pokoju.

Konieczny bez słowa skierował się posłusznie ku wyjściu, ale we drzwiach się zatrzymał i obrócił.

— Pogrzebałeś mnie, Judaszu — powiedział z akcentem wielkiego żalu i cierpienia.

Po czym wyszedł, a ponieważ na korytarzu był gwar i dużo pacjentów, schronił się do toalety, tej trzeciej bez okienka, zawsze zamykanej na noc.

Tam poczuł się pusty, wydrażony z wnętrzości, zupełnie pusty, tylko z cienką warstwą skóry, lecz jakby całym nasilonym uwrażliwieniem zwróconą do wewnątrz, z wierzchu martwą, a uczuloną tylko na pustkę, wsłuchiwał się w unerwienia tak dziwacznie przenicowanej skóry, odbierając jedynie obecność pogłębiającej się pustki, aż począł sobie zdawać sprawę, że coś się w nim zaczyna dzieć, coś zarazem niepojętego i przerażającego, powoli jak mroki gęstniejącej nocy, a może odwrotnie: jak rozszerzające się światło dnia wypełniał go ogromny ruch, wirowanie podobne kosmicznemu, o tak, tak!, czujny i zeszywniały wiedział już, że wszechświat wtargnął w jego pustkę, kosmos nieogarniony i niepojęty, aby w nim kontynuować odwieczne obroty oraz pęd w nieznanie, lecz w przeciwieństwie do ubogiej wiedzy, jaką o obrotach ciał niebieskich posiadał, układy słoneczne wirujące w obszarach potężnych galaktyk i wraz z nimi, teraz obracały się w jego pustych wnętrzościach i rozprzestrzenia-

ły nie w martwej ciszy, lecz wśród chrapliwych zgrzytów, skrzypień jęklowych i żałosnych kwileń i postękiwań. Długo i uważnie wsłuchiwał się przenieconą skórą w odgłosy, w których wyraźnie począł odnajdywać chrzęst skrzypień jęklowych i żałosnych kwileń i postękiwań. Długo i uważnie wsłuchiwał się przenieconą skórą w odzēm wzmocnione tyfusową maligną, i żałosny płacz dziecka nad małym ciałkiem wiewiórki, i jeszcze jakby dalekie pogłosy krótkich serii z automatu, może nawet szum wysokiego lasu, trzaski suchych gałęzi i szelest listowia, zatem czujnie zasłuchany kiwał głową do wtóru tych zgrzytów, skrzypień, lamentów i drzeń, jakby je sprawdzał uważnie, a rozpoznawszy — czule zatwierdzał, aż wreszcie poczuł się bardzo utrudzony i senny, więc usiadł na sedesie, głowę wsparł o dłonie i wtedy stała się nagle cisza w nim i dookoła, a wówczas, wciąż z głową objętą obu dłońmi, zgarbiony w plecach, głośno zapłakał.

Niebawem mała, ładna czarnulka, siostra Irenka, zaniepokojona zniknięciem Koniecznego, odnalazła go i zaczęła z macierzyńską czułością, jak małe dziecko pocieszać, lecz jej nie poznawał, nie chciał wstać, dłoni od głowy nie pozwalał oderwać, wciąż płakał.

Październik-listopad, 1967.



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 16 OCTOBRE 1968
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 4^e trim. 1968



M. do II.428.493

Kelly

Cena 9 F (dol. 2,25)